Nr. 28. Warszawa, dnia 1 (14) Lipca 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POBYT

JEGO CESARSKIEJ MOŚCI

NAJJAŚNIEJSZEGO PANA

w Chełmie i w Brześciu Litewskim.

W niedzielę, o godz. 10½ zrana, w obecności Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana odbyło się poświęcenie sztandaru pułku moskiewskiego i parada pułkowa. Jego Cesarska Mość osobiście wręczył sztandar dowódcy. Po paradzie Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan podniósł czarkę za dalszy rozkwit, sławę i zdrowie pułku. Potem w klubie oficerskim odbyło się śniadanie Najwyższe, na które zaproszeni byli wszyscy służący w pułku oraz oficerowie i dowódcy oddziałów, którzy w pułku służyli. Podczas śniadania Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan znowu raczył pić za pomyślność Swego pułku. Po śniadaniu Jego Cesarska Mość raczył pewien czas zabawić w pułku między oficerami, zaszczycając wielu miłościwemi rozmowami i pytaniami. O godz. 4 odbył się przegląd Najwyższy piechoty korpusu 14 i siódmej dywizyi jazdy, a o godz. 10 wieczorem Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan odjechał z Chełma do Brześcia Litewskiego.

W poniedziałek o g. 8½ zrana, Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył przybyć do Brześcia Litewskiego. Przyjąwszy wartę honorową, Jego Cesarska Mość udał się w powozie do obozu dywizyi 38, przed którym odbył się przegląd dywizyi 2 i pułku kowelskiego, garnizonu twierdzy i artyleryi korpusów 6 i 19. Po przeglądzie Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan raczył oglądać fort nr. 4, a następnie w obozie dywizyi 38 zwiedził szpital dywizyjny. Po obejrzeniu szpitala odbyło się śniadanie w lotnim klubie pułku czarnomorskiego. Jego Cesarska Mość raczył wznieść kielich za zdrowie wojsk, które było na przeglądzie, a następnie za zdrowie Najdostojniejszego Szefa pułku czarnomorskiego, Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Michała Mikołajewicza. Po śniadaniu Jego Cesarska Mość raczył wstąpić do cerkwi obozowej dywizyi. O godz. 1 po południu Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan odjechał do Białogostoku, gdzie wzdłuż linii kolejowej ustawione były szpalerami pułki dywizyi 16, które wczoraj obchodziły święto.

Mowa przewielebnego władyki Hermana, biskupa lubelskiego, przy wejściu Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana do soboru w Chełmie w d. 7 lipca, brzmi:

„Wasza Cesarska Mości, Samowładny Najprawowierniejszy Monarcho! Z rozrzewnieniem serca i najczulszą miłością Ruś Chełmska ma szczęście po raz wtóry witać Waszą Cesarską Mość pod stropami tej świątyni. W Waszych Najmiłościwszych odwiedzinach Chełma i w Waszej Monarszej troskliwości o to stare ognisko Rusi Czerwonej, Chełmskiej i Zabużnej, o tę wysuniętą naprzód twierdzę prawosławia i rosyjskich podstaw państwowych na naszej granicy zachodniej, my wszyscy ludzie ruscy, powołani wolą Monarszą Waszej Cesarskiej Mości do pracy nad odrodzeniem tego kraju, znajdziemy dla siebie siły do nowej, nieopieszałej służby, w myśl Monarszych wskazań Waszej Cesarskiej Mości.

Przed chełmską Świętością, cudownym obrazem Matki Boskiej, według starożytnego podania złożonej w darze Rusi Chełmskiej przez św. Równego Apostołom Księcia Włodzimierza, modlimy się i nieustannie składać będziemy modły, aby Królowa Niebieska osłoniła Was swoją świętą szatą, aby zapewniła głęboki i niezmienny pokój naszemu Wielkiemu Monarsze, dla którego przepełnione są miłością nasze serca, aby wzmocniła Ona Wasze Państwo, aby rozradowała Was niewypowiedzianem szczęściem w Waszej Rodzinie Monarszej, aby podniosła pod Waszem silnem Berłem świętą Ruś Chełmską i żeby zachowała nas, ludzi ruskich, w stałej, niezmiennej wierności dla Waszej Cesarskiej Mości i dla sławnych przykazań dziejowych Ojczyzny naszej."

(*Warsz. Dniewn.*).

Petersburg 10 lipca. (*Tel. Ajen. Tel. R.*) Wczoraj Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan przybył do Brześcia Litewskiego i o godz. 1 po południu raczył odjechać do Peterhofu.

Administracya PRAWDY od dnia 8 lipca mieści się przy ulicy Sadowej nr. 14.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UNIWERSYTET KRAKOWSKI.

Wspomnienie.

IV.

Rzeczywistym profesorem mógł być doktor lub magister: doktorat nadawał lub potwierdzał, jeśli kandydat przybywał z zagranicy, ten fakultet, na którym miał wykładać. W okresie teologii i filozofii władzę doktoryzowania wykonywało *collegium majus*, było ono naukowym gospodarzem obu fakultetów i obu kolegiów, Większego i Mniejszego. Tylko *collegiatus* miał głos w kolegium, ale go tracił, jeśli nie był *actu legens*, tj. jeśli rzeczywiście nie wykładał, choćby *semel in hebdomade* (raz w tygodniu). Na obu wydziałach musiał *bakałarz*, powstały ze skończonego studenta, przebyć dwulecie na katedrze publicznej, zanim mu magistrować się, a potem doktoryzować pozwolono; dysputy publiczne na niego głównie spadały. Teologowie nazywali takiego wykwalifikowanego do ubiegania się o stopień zaszczytny *baccalaureus cursor*. Stopni na wydziale teologicznym było najwięcej: magister, doktor teologii sentencyi, dekretów, obojga praw (również i na prawnym). Filozofowie nosili tytuł *magister artium* (nauk wyzwolonych). W filozofii tkwiła i filologia, u nas nawet w okresie objętym przez szacowne wydawnictwo Wisłockiego, miała nad nią przewagę, wyżej już zaznaczoną. Egzaminowanie, wyczuwanie doskonałości wiedzy, najpierw

przez dziekana, potem przez grono mniejsze kolegiatów, wreszcie przez ogół fakultetu, łączyło się z wielu ceremoniami; zwyczajowe napomnienie, nowicyuszowi dawane, miało w sobie wzniosłą prawdę, ale ta, jak we wszelkim formalizmie, z czasem bezduszną się stała. Nienależący do kolegium lub nie dopuszczony do ubiegania się o stopień, nazywał się *extraneus* (obcy). W końcu XV i do środka XVI w. cudzoziemcy znakomitsi wykładali jako *extranei*. Stale dopuszczano jako obcych i rodowitych Polaków; a głównie magistrów. *Baccalaureus extraneus* stał zupełnie po za uniwersytetem.

Głownem narzędziem do otwierania głów przez profesorów, jak na wykładach, tak na egzaminach habilitacyjnych był syllogizm, czczy, od rzeczywistości oderwany, czysto algebraiczny, bezkrytyczny i nietykający wcale przesłanek, nierzucający ich na marmur rozsądku — ten sam syllogizm, któremu Taine przypisuje zanik wiedzy w Wiekach Średnich. Na wydziale teologicznym dobierano się nieszczęsnem tem narzędziem, które miało być tryumfem rozumu, do Piotra Lombarda i Tomistów, na filozoficznym do Arystotelesa przeważnie. Miała je Europa cała, mieliśmy i my, ale u nas używano go dłużej i z większą może szkodą, wskutek mniejszej samodzielności umysłów a większego odgrodzenia się instytucyi, która przez nie żyć miała. Wydział czy oddział filologiczny fakultetu filozoficznego, więcej pamięci i wczytywania się w autorów, zestawiania ich, porównywania z sobą, więcej estetycznego i antykwarskiego zmysłu i zdolności, niż rozumowania wymagający — mniej też sylogizmem operował, i dzięki temu od końca XV w. przez cały prawie XVI znajdował się w rozkwicie. Edykt Zygmunta Augusta w 1550 r., mówiący o stopniowem chyleniu się do upadku całej Akademii bez wyjątku wobec znacznego w owym właśnie czasie ożywienia instytucyi, wydaje się pesymistycznym.

Samorząd instytucyi jagiellońskiej był doskonałym. Pierwotne nadania Jagiełły z lat 1400 i 1401, edykt Zygmunta I z roku 1535, wielkie wreszcie poważanie społeczne, jakiego zażywała *Universitas studii generalis* (tak się pieczętowała), powołana przedewszystkiem do wydawania teologów, mająca nad sobą zwierzchniego opiekuna, kanclerza, w biskupie krakowskim, złożyły sumę warunków najzupełniej wystarczających do samodzielnego życia. Nikt jej w niczem nie hamował: prawo nawet pospolite drętwiało wobec jej uprawnień. Wyroki rektora i senatu, tj. rady przy nim z profesorów kolegiatów, którzy przez dziekaństwo i rektorat już przeszli, wyroki całego uniwersytetu, o ile ich kanclerz nie zmienił, miały moc niewzruszalną, a ramię świeckie przychodziło z pomocą karzącemu ramieniu nauczycielskiemu. Kogo uniwersytet wygnał, tego żaden obywatel krakowski przyjąć do siebie nie miał prawa; kogo przyjął, temu nie mogło miasto wzbronić pobytu. Juryzdykcya, oczywiście, rozciągała się na uczniów (*studentes*), których zwano *żakami*, a pośrednio dopiero na tych, którzy prawa ich pogwałcili. W fundacyi Kazimierzowej, przeznaczonej do kształcenia prawników, wzorem była Bononia, gdzie rektorat sprawował jeden z uczniów, wybrany przez powszechność, *universitas*; w fundacyi jagiellońskiej *demos* uczniowski ustąpił miejsca *bule* z profesorów i archontowi z ich łona. Porządek taki utrzymał się aż do ostatnich chwil dawnej akademii. Naród żaków nie miał nawet stałego przedstawiciela wobec władzy, która nim rządziła. Nie można więc narzekać na rozpasanie i krnąbrność, a jeżeli były starcia między rządem a narodem, rozrywające jedność wewnętrzną, rozszarpujące samą osobistość zbiorową — nie demos temu był winien, ale seniorat. W największem ze wszystkich takich wstrząśnień, w tłumnem wyjściu żaków krakowskich w maju i czerwcu 1549 r., najdobitniej się to pokazuje; wtedy nietylko władza wewnętrzna, ale i zewnętrzna, najwyższa, królewska, nie spełniła swego obowiązku. W XVII w. szkodziły i nauce i instytucyi jako istocie walki wyznaniowe. Wogóle, o tem tle wyznaniowem na chwilę zapominać nie wolno, gdy się sądzi zjawiska dziejowego bytu Akademii.

Jak władzę sądową tak i gospodarczo-skarbową miał uniwersytet swoją własną; nikt mu do komory nie zaglądał, połci jego nie liczył; ale nikt też— choć miał obowiązek, nie pilnował, aby mu tych połci nie kradziono. Wiele ich wyniósł złodziej wewnętrzny, którego upilnować trudno, chyba samemu gospodarzowi; ale niejeden uwiązł w rękach złodzieja ze świata, nie z domu — a przedewszystkiem samych obciążonych zapisami, rentami wszelkiego rodzaju — bierzemy tę nazwę w najogólniejszem, może dowolnie rozszerzonem, znaczeniu— z jakich 6-milionowe mienie głównie się składało. Odpowiedzialnymi tu są: i poborcy i rządcy dochodów królewskich; i księża stojący u źródeł zapisów przywiązanych do świątyń, do kaplic, do ołtarzy; i ogół szlachecki, tolerowani ogółu tego przedstawiciele, konkretnym obowiązkiem do Akademii przykuci, a z pod obowiązku tego zuchwale wyłamujący się. Obowiązkowych wkładów, prestacyi, albo wcale nie czyniono, albo czyniono je źle, w złej, spodlałej walucie. Własność widerkafową zamieniano na czystą, nie płacąc kapitału renty. W wielu wypadkach cynicznie odmawiano wypłat lub je samowolnie, przy zniżonej nawet już wartości monety, obcinano. Zdarzała się i niesumienność w samych tych, którzy z uposażeń korzystali: rabusie zagarniali je różnymi sposobami dla siebie, dla rodzin swoich, dla sukcesorów z krwi, nie zostawiając nic sukcesorom z ducha, tym którzy po nich katedry ich zajmować będą. Niegodziwa chciwość nie znajdowała kiełzna w roztropnym, umiejętnym, a sprężyście wykonywanym zarządzie. Nie można powiedzieć, aby urządzenie samo było złe: owszem, ci prokuratorowie, syndycy, przełożeni (*praepositus collegio*), ekonomowie wytwarzają składną teoretycznie całość; ale jeśli była sama teorya urzędu, kontroli, garści trzymającej i nie dającej sobie wydrzeć, nie było praktyki — jeśli funkcyę obmyślano należycie, brakło do spełnienia jej urzędników, sił urzędniczych, wystarczających na potrzeby tak wielkiego, tak zawikłanego gospodarstwa, jak to, które prowadził Uniwersytet Jagielloński. Pomijamy już nieuniknioną w zbiorowości nierzetelność; bo więcej zaszkodziła nieumiejętność, a najwięcej — jakaś niemoc dusz, uniezdalniająca do przedmiotowego ukształtowania się w siłę działającą społecznie, — jakaś choroba woli, czy zamroczenie wyobraźni, przy którem trudno jej było współdziałać z wolą do uprzedmiotowienia się subjektywnej jednostki w urzędniku.

(D. n.)

Listy o Galicyi.

III. *Kraków, 8 lipca.*

Walki narodowościowe w Austryi, a społeczeństwo galicyjskie.

W życiu politycznem Galicyi odbijają się żywo stosunki ogólno-austryackie. Zwłaszcza głośny spór językowy między Czechami a Niemcami, w o-

---

GUY DE MAUPASSANT.

'FERMER.'*

Możebyś pan ze mną pojechał na polowanie do mojej fermy Marinville? — spytał mię raz baron René du Treilles. — Zrobiłbyś mi wielką przyjemność. Jadę sam. Poluje się u mnie w dość ciężkich warunkach, a dom, który zamieszkuję, kiedy tam zjeżdżam, taki jest pierwotny, że zapraszać mogę tylko najbliższych przyjaciół.

Przyjąłem zaproszenie.

Wyjechaliśmy w sobotę pociągiem drogi normandzkiej. Na stacyi Almavire wysiedliśmy. Tu baron, prowadząc mię do szarabanu, zaprzężonego w jednego płochliwego konia pod kierownictwem wysokiego, siwowłosego wieśniaka, rzekł:

— A oto nasz ekwipaż, mój drogi.

Chłop podał rękę baronowi, a ten ją serdecznie uścisnął.

— No cóż, ojcze Lebrument, jakże się macie?

— Zawsze jednakowo, panie baronie.

Wsiedliśmy do tej klatki na kurczęta, zawieszonej i trzęsącej się na dwóch kołach niepomiernie dużych, i koń popędził galopem, podrzucając nami jak tłomokami; każde zetknięcie się z ławką sprawiało mi ból niewymowny.

Nasz woźnica powtarzał spokojnym, monotonnym głosem.

— No, no, zwolna, zwolna gniady!

Gniady tymczasem nie słuchał i skakał, jak jelonek.

Nasze dwa psy, umieszczone za nami w pustej części klatki, podniosły się i zaczęły węszyć powietrze równin, po nad któremi unosiła się woń zwierzyny.

Baron smutnem cokolwiek wejrzeniem obejmował niwy normandzkie, falujące i melancholii pełne, wyglądające jak ogromny, niezmierzony park angielski, wśród którego fermy, otoczone dwoma lub czteroma rzędami drzew, wysadzone jabłoniami, zasłaniającemi dom mieszkalny, przedstawiają nigdzie nie kończącą się perspektywę zarośli, zagajników i drzew. Nagle René du Treilles odezwał się szeptem:

— Kocham tę ziemię: z niej wyrosłem.

Był to Normandczyk czystej krwi, duży, szeroki, cokolwiek otyły, z tej dawnej rasy awanturników, którzy zakładali królestwa na wybrzeżach wszystkich mórz świata. Mógł mieć około pięćdziesiątki; o dziesięć lat może był młodszy od chłopa, który nas wiózł. A ten przedstawiał typ chudego — skóra i kości — człowieka, jednego z tych, co to żyją bez końca.

Po dwu godzinach jazdy po drogach kamienistych, przez pola wszędzie zielone i wszędzie jednakowe, wózek nasz wtoczył się na jedno z takich podwórz zasadzonych jabłoniami i zatrzymał się przed odwiecznym, zrujnowanym domem, gdzie stara służąca czekała na nasze przybycie. Młody chłopak, stojący obok niej, skoczył zatrzymać konia.

Weszliśmy do domu. Kuchnia była duża, wysoka i zadymiona. Na porcelanie i naczyniach miedzianych tańczyły odblaski ognia, palącego się na kominie. Na krześle spał kot, pod stołem drzemał pies. W powietrzu unosiła się woń mleka, jabłek, dymu zmieszanego z tym nieokreślonym zapachem starych chat, ziemi, ścian, sprzętów, rozlanych zup, pomyj i starych mieszkańców — zmieszane wonie zwierząt i ludzi, rzeczy martwych i istot żyjących, czasu, przeszłości.

Wyszedłem, azeby obejrzeć podwórze. Było bardzo duże, zasadzone staremi, rozłożystemi jabłoniami, z których zwieszały się owoce. Powietrze tak silnie przepojone było zapachem jabłek, jak na wybrzeżach

---

*) Ze świeżo wydanych pośmiertnych opowiadań genialnego pisarza: *Le Colporteur*. 1900.

statnich trzech latach wysunął się na widownię życia publicznego Austryi, przygłuszył wszystkie inne kwestye: polityczne, społeczne i ekonomiczne i podkopał nietylko parlamentaryzm, lecz nawet podwaliny bytu państwowego monarchii austryackiej. Z natury rzeczy wywołał on żywą dyskusyę i wśród polskiego społeczeństwa, rzucił w wir walk politycznych i społecznych w Galicyi różne hasła, które przez jakiś czas górowały nad naszem życiem publicznem do tego stopnia, że wywołały niebywałe przedtem rozjątrzenie i wpłynęły na ugrupowanie się stronnictw galicyjskich.

Można było obserwować w Galicyi zjawisko zupełnie podobne do roznamiętnienia, jakie w Paryżu zdolali wywołać nacyonaliści okrzykiem *vive l'armee!* U nas miejsce tego frazesu zajął frazes o solidarności słowiańskiej. Hasłem tem zdołano zahypnotyzować filistrów. Zwłaszcza w zimie 1897—8 po upadku ministeryum hr. Badeniego, szał słowiański w Galicyi dosięgnął swego punktu kulminacyjnego. Na nieliczne organy prasy, jak *Kuryer lwowski*, *Słowo polskie* i in., które stanowiły wyjątek, dysonans w tym zgodnym chórze wielbicieli, rzucono przekleństwo narodowe, wyrzucano je z kawiarń i kasyn mieszczańskich. Stronnictwo ludzi pracy, które stanowczo zaprotestowało przeciwko bezmyślnemu frazesowi, odsądzono od czci, wiary i patryotyzmu. Koło polskie pełnymi żaglami płynęło na falach demagogii rasowej, mając na swe usługi zarówno konserwatywny *Czas*, klerykalny *Ruch katolicki*, antysemicki *Głos narodu*, jak i narodowo - liberalną *Nową Reformę* lub *Wieniec i Pszczółkę* ks. Stojałowskiego.

Dziś, po trzech latach demagogicznych orgij okazało się zupełne bankructwo polityki słowiańskiej, a stanowisko zajęte od początku w zatargu językowym przez przeciwników frazeologii zachowało cechy niezwalonego burzami drogowskazu w zamęcie walk narodowościowych. Przyczyny tego postaramy się tu wyświetlić w ogólnych zarysach.

Jeżeli się przypatrzymy stosunkom narodościowym w poszczególnych prowincyach Austryi, to spostrzeżemy, że niemal w każdej z nich walczą ze sobą dwie narodowości: uciskająca większość i uciskana mniejszość. W Czechach Czesi mają przewagę i dlatego chcieliby wszystkie sprawy językowe załatwiać u siebie w domu, w sejmie praskim, w którym stanowią większość i mogą dowolnie przegłosowywać garstkę Niemców. Są więc autonomistami. Niemcy zaś, którzy są tam w mniejszości, zaprzeczają sejmowi praskiemu tego prawa, które przyznają jedynie parlamentowi. Są zatem centralistami. Przypatrzmy się jednak stosunkom szląskim. Tu stanowią Niemcy większość sejmową i teroryzują garstkę Czechów i Polaków. Dlatego też na Szląsku Niemcy stoją na ściśle autonomicznem stanowisku, podczas gdy u Czechów i Polaków szląskich ujawniają się niedwuznaczne tendencye centralistyczne. Klasyczny tego przykład mieliśmy ostatniej zimy, kiedy obecny prezydent gabinetu, dr. Körber, zwołał konferencyę ugodową, złożoną z czeskich i niemieckich posłów dla załatwienia sporu językowego; gdy polska i czeska prasa podniosła przy tej okazyi żądanie, aby konferencya ta zajęła się zarazem uregulowaniem stosunków językowych na Szląsku, zaprotestowali przeciwko temu Niemcy szląscy jednogłośnie, twierdząc, że konpetentnym w tej sprawie jest tylko sejm szląski. W Galicyi znów w sejmie przewagę mają Polacy, są tu więc autonomistami, podczas gdy Rusini, którzy tu mniejszość stanowią i doznają narodowego ucisku, objawiają wyraźnie dążności centralistyczne. Widzimy więc, że każda większość narodowa jest autonomistyczną, każda mniejszość zamknięta w wspólnej klatce z przemożnym przeciwnikiem i zdana na jego łaskę i niełaskę, stara się rozbić kraty tej klatki i jest dlatego centralistyczną. Sporów narodowościowych w Austryi nie można tedy sprowadzić do wspólnego mianownika: do walki między centralizmem a federalizmem. Jest to legenda, którą doświadczenia ostatnich trzech lat dostatecznie już rozwiały. Ani Niemców nie zadowoliłby centralizm w tym konglomeracie narodów, w którym narodowości nie-niemieckie mają większość ilościową — ani federalizm nie zadowoliłby Czechów, którzy w takim razie na Morawach byliby wydani na łup sejmowej większości niemieckiej.

Punkt ciężkości kwestyi językowej w Austryi spoczywa, jak już z powyższego widzimy, w sprzeczności między historycznym podziałem Austryi na tak zwane królestwa i kraje koronne a rzeczywistym stosunkiem wzajemnym narodowości pod względem ilościowym i geograficznym. Życie rzeczywiste i istotne potrzeby kulturalne i narodowe ludów odbiegły daleko od tradycyi owych historycznych instytucyj. Ani autonomia krajów, ani urzeczywistnienie czeskiego prawa państwowego nie zdołałyby zakończyć sporów narodowościowych, bo dawałyby większościom narodowym przywilej uciskania mniejszości narodowych. Nie historyczne przywileje, nie spleśniałe pergaminy mogą dać podstawę rozwoju żywym narodom w nowoczesnym ustroju państwowym, lecz jedynie ich rzeczywiste potrzeby.

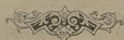
Bezowocne walki ubiegłego trzechlecia przekonały wszystkich, że w państwie konstytucyjnem, jakiem jest Austrya, nie można rządzić zapomocą Niemców przeciw Słowianom, ani zapomocą Słowian przeciw Niemcom. Zadośćuczynienie zaborczym dążnościom jednego plemienia kosztem drugiego musi wywołać u ludu pokrzywdzonego gwałtowny protest, musi go popchnąć do użycia najostrzejszych środków walki, do zastosowania obstrukcyi parlamentarnej, rozluźniającej całą maszynę państwową.

W opinii publicznej w Galicyi dokonał się zwrot stanowczy. Koło polskie, czując, że mu się grunt z pod nóg usuwa, porzuciło program walki rasowej i hasło solidarności słowiańskiej i wyrwało się z objęć młodoczechów, w które je popchnęła mała koterya z posłem Kozłowskim na czele. Prezes Koła, p. Jaworski w czasie ostatniej kampanii parlamentarnej rzucił młodoczechom, uniemożliwiającym obrady zapomocą obstrukcyi, ultimatum: „Dotąd — a nie dalej!“ Na to młodoczesi odpowiedzieli „divorçons“ i rzucili w *Narodnich Listach* grad obelg na Koło polskie.

W Galicyi jeden tylko klerykalny *Głos narodu* inspirowany przez pp. Kozłowskiego i Wielowiejskiego, dzierży jeszcze sztandar solidarności słowiańskiej i atakuje w niebywały dotąd sposób Koło polskie i jego prezesa. Są to jednak już tylko ostatnie strzały na straconej reducie.

Mimo tego zwrotu w opinii, mimo drogo opłaconych doświadczeń niepewną jest rzeczą, czy rychło już da się zakończyć waśń narodowa w Austryi. Stronnictwa mieszczańskie żyją z waśni narodowej, ona jest ich jedyną racyą bytu. Jakżeż więc godzić ludzi, którzy żyją z walki? Gwałtem ich uszczęśliwić nie można.

Vivus.



Południa zapachem kwiatu pomarańczowego. Dokoło ogrodzenia czterema rzędami rosły buki wyniosłe, szczytami swymi sięgać się zdające chmur w zapadającym mroku. Wierzchołki ich chwiały się poruszane oddechem wiatru nocnego, który jęczał i skarżył się nieskończenie i smutnie.

Wróciłem do kuchni. Baron grzał sobie nogi przed ogniem i słuchał opowiadania swego fermera o rzeczach miejscowych. Wieśniak mówił mu o małżeństwach, narodzinach i zgonach, o nizkich cenach zboża i stanie inwentarza. Jedna krowa ocieliła się w połowie czerwca. Jabłecznik nie udał się w zeszłym roku.

Podano obiad, przyrządzony po wiejsku, smaczny, prosty, obfity i długo trwający. Siedząc przy stole, przez cały czas zdziwiony przyglądałem się przyjacielskiej poufałości, z jaką ci dwaj ludzie — baron i chłop—obcowali ze sobą.

Na dworze buki nie przestawały odzywać się jękliwie pod uderzeniami wiatru nocnego, a nasze dwa psy, zamknięte w komórce, wyły przeraźliwie. Na kominie zgasł ogień, służąca poszła spać. Ojciec Lebrument podniósł się także:

— Za pozwoleniem pana barona, pójdę i ja już spać. Nie mam zwyczaju siedzieć tak długo.

Baron podał mu rękę.

— A idź, bracie! — rzekł tak serdecznym tonem, że zapytałem zaraz, jak tylko drzwi zamknęły się za chłopem:

— Bardzo ten wieśniak do pana przywiązany?

— Więcej niż przywiązany. Łączy mnie z nim cały dramat, stara, zwyczajna historya. Posłuchaj pan:

* * *

Jak pan wie, ojciec mój był pułkownikiem, kawalerzystą; miał przy sobie młodego chłopca, dziś już starca, syna gospodarza. Kiedy mój ojciec podał się do dymisyi, żołnierz, który liczył już wtedy około czterdziestu lat, został jego służącym. Ja miałem wówczas lat trzydzieści. Mieszkaliśmy w naszej posiadłości de Valrenne, niedaleko Caudebec-de-Caux.

U matki mojej służyła garderobiana, śliczna dziewczyna, blondynka, sprytna, żywa, wysmukła, prawdziwy typ subretki z dawnych czasów, dziś już zaginiony. Paryż wskutek ułatwionej komunikacyi kolejowej zabiera je, przyciąga, jak tylko rozwiną się, rozkwitną owe śliczne dziewczyny, które dawniej całe życie pozostawały służącemi. Dziś każdy przechodzień, jak niegdyś sierżant werbujący rekrutów, uwodzi je i zniepráwia, a do służby idą tylko odpadki rasy kobiecej, to, co grube, brzydkie, pospolite, niekształtne, zbyt szpetne dla miłosnych zabiegów.

Dziewczyna była, jak rzekłem, prześliczna, więc czasami w kąciku, ukradłem jej całusa. I nic więcej, przysięgam panu, nic więcej. Była uczciwą, a przytem ja szanowałem dom mojej matki, czego się dziś już prawie nie widzi.

Otóż, zdarzyło się, że kamerdyner mego ojca, kawalerzysta, ten oto stary fermer, którego pan widziałeś, zakochał się szalenie w tej dziewczynie, ale to tak, jak już dziś kochać nie umieją. Zrazu zauważono, że traci pamięć, że nie myśli o niczem.

Mój ojciec bezustannie mu powtarzał:

— Słuchaj, Janie, co ci jest, czyś ty nie chory?

A on odpowiadał:

— Nie, panie baronie, nic mi nie jest.

Schudł, potem zaczął tłuc szklanki, usługując przy stole; wypadały mu z ręki na ziemię talerze. Myśleliśmy, że popadł w jakąś nerwową chorobę i wezwali lekarza, który zauważył objawy zwapnienia mleczą pacierzowego. Wówczas mój ojciec zaniepokojony jego stanem, postanowił wyprawić go na kuracyę do domu zdrowia. On zaś, dowiedziawszy się o tem, wyznał wszystko.

WYSTAWA PARYSKA.

Paryż, 7 lipca.

Szkoła wystawy.

W pierwszym mym liście o wystawie opisałem ogólny jej charakter i organizacyę; pozostawiłem jednak do niniejszego jedną zupełnie nową stronę tej organizacyi—szkołę wystawy. To wielkie państwo wystawy ma bowiem nietylko swój rząd, swe prawodawstwo, swe drogi komunikacyi itd., ale także i swoją specyalną organizacyę szkolną.

Każda wystawa powszechna i międzynarodowa składa się dzisiaj, i to już od roku 1889, z dwóch części: z wystawy materyalnej produktów i z całego szeregu kongresów międzynarodowych. Tych ostatnich nigdy jeszcze nie było tak wiele, jak ma być w roku bieżącym: specyaliści, ludzie zajmujący się wszelkiemi możliwemi sprawami, odczuwają potrzebę zetknięcia się i porozumienia z towarzyszami pracy i myśli innych narodowości. Nie mniej, niż 138 tych kongresów otrzymało aprobatę urzędową, drukuje swe cyrkularze na koszt wystawy i odbywać się będzie w Pałacu Ekonomii społecznej i kongresów w obrębie wystawy *); na setki liczą się kongresy inne, nie oficyalne i odbywać się mające po za obrębem wystawy. W różnolitym ogromie wystawy materyalnej zwykły gość-niespecyalista musi stracić głowę, niepodobna mu się samemu zoryentować i należycie skorzystać z tej jedynej w swoim rodzaju lekcyi poglądowej, specyalista zaś zamyka się w obrębie swej wystawy specyalnej i przekracza ją chyba wtedy, jeśli go wabi napotkany próg jakiejś wesołej atrakcyi. Szczególniej zaś dla profana trudny jest do studyowania cały dział „ekonomii społecznej,“ którego wystawa polega głównie na tablicach, dyagramach, katalogach itd., a ktory przecie na tegorocznej właśnie wystawie szczególnie jest rozwinięty i ciekawy. Kongresy międzynarodowe po części mają właśnie i to znaczenie, że dopełniają wystawę materyalną pewnym całokształtem poglądów i wiadomości; ale nie są one dostępne dla szerszej publiczności i każdy trwa za długo, aby można brać udział w większej ich liczbie. Otóż pewna — bardzo znaczna — ilość najwybitniejszych pisarzy i profesorów francuskich gorąco poparła rzuconą myśl założenia „międzynarodowej szkoły wystawy,“ któraby uczyniła ją prawdziwie przystępną i pouczającą dla jak najszerszej publiczności. Prawnicy: Alglave, Cauwes, Dufourmantelle, Esmein, Glasson, Lyon-Caen, Renault; filozofowie i socyologowie: Boutroux, Espinas, Fouillée, Séailles, Tarde; ekonomista Gide; historycy: Boutmy, Lavisse, Seignobos; przyrodnicy i lekarze: Berthelot, Brouardel, Duclaux, Mascart, Moisson, Perrier, Richet; działacze polityczni: Leon Bourgeois, Herbette, Siegfried; książęta Arenberg i Roland Bonaparte; inżenierowie, jak Adolf Carnot; artyści, jak Eug. Carriere, jak poeta Haraucourt; kierownicy różnych instytucyj rządowych i prywatnych: akademij, szkół wyższych, instytutów i muzeów (wyliczyłem zaledwie drobną część) stanęło do poparcia i czynnej pomocy, w szeregu inicyatorów; duszą zaś całego tego przedsięwzięcia jest Emil Bourgeois, profesor historyi dyplomatycznej w szkole normalnej i w szkole nauk politycznych, bezstronny i sumienny znawca w. XVIII. Przy udziale zarówno tych inicyatorów, jak wielu innych specyalistów wszelkiego rodzaju, urządzane są już obecnie i będą przez cały czas wystawy— wykłady o tych wszystkich przedmiotach, które wystawa przedstawia w okazach materyalnych. Między innemi osobne wykłady będą urządzone dla robotników różnych zawodów i rożnych narodowości, którzy przyjeżdżają grupami na wystawę; szczególnie przy tem uwzględnione być mają najnowsze postępy techniki. Szkoła wystawy kierować będzie także przy sposobności racyonalnem zwiedzaniem Paryża i urządzać wykłady w muzeach i instytucyach naukowych na związane z niemi tematy. Prócz tego wreszcie szkoła wystawy stworzy także łącznik między rozmaitymi kongresami: szereg specyalnych wykładów, ułożonych według systematycznego planu, poświęcony być ma rezultatom wszystkich zjazdów, wykłady te wydane zostaną później razem w osobnej książce i dadzą w ten sposób obraz ogólny teraźniejszego stanu nauk, sztuk i cywilizacyi.

Dla przykładu weźmy program wykładów trzeciego tygodnia działalności szkoły (od 25 do 30 czerwca). Mamy tu ogółem 12 lekcyj, które odbywają się w salach szkoły, rozrzuconych po całej wystawie, lub wprost w galeryach i na placach. Budowniczy Fr. Jourdain mówi o architekturze wystawy; literat Brun — o starych prowincyach francuskich, których kilka odtworzono na wystawie w stylowych domkach itd.: prof. Malet — o Słowianach bałkańskich, przyczem oprowadza słuchaczy po pawilonach serbskim, bułgarskim, bośniackim; kto inny—o naukowem i ekonomicznem znaczeniu wypraw nad rzekę Niger; agronom Coupan — o maszynach rolniczych; fotograf Devaune — o fotografii; weterynarz Duprez — o psuciu się mięsa; wreszcie dwa odczyty z zakresu „ekonomii społecznej“: Ferdynanda Dreyfusa, wice-prezesa komitetu centralnego „dobroczynności przez pracę“ — o instytucyach oddających się temu zadaniu, i Lourties go, senatora, b. ministra handlu, prezesa międzynarodowego kongresu mutualistów — o stowarzyszeniach wzajemnej pomocy we Francyi. Byłem na kilku z pomiędzy tych wykładów i zaświadczyć mogę, że pomimo nawet swej specyficznie francuskiej lekkiej formy, są one bardzo pożyteczne i wtajemniczają przeciętnego gościa w wewnętrzną treść i znaczenie wystawionych martwych okazów.

Założyciele „szkoły wystawy“ nie poprzestają jednak na tem. Ożywieni do głębi poczuciem międzynarodowości wiedzy i całej nowożytnej cywilizacyi, upatrują oni wartość swego przedsięwzięcia głównie w tem, że na wykładach i zebraniach przez szkołę urządzanych zetkną się ludzie wszelkich narodowości i nawiążą przyjazne stosunki, informować się będą nawzajem o stanie nauk i sztuk w swych ojczyznach itd. Chodziło o to, aby te międzynarodowe stosunki przetrwały wystawę, w tym celu założone zostało jednocześnie „Międzynarodowe towarzystwo popierania nauki, sztuk i wychowania,“ a szkoła wystawy została uznana tylko za pierwszy i najważniejszy przejaw działalności grupy francuskiej tego towarzystwa. Prezesem międzynarodowego stowarzyszenia jest znany działacz polityczny i publicysta

*) Wymienimy tylko kilkanaście ważniejszych kongresów, o których prawdopodobnie pisać nam wypadnie: tanich mieszkań, działalności kobiet, wypadków przy pracy, ubezpieczeń, rolnictwa, kredytu ludowego, kooperacyj wytwórczych i spożywczych, udziału w zyskach, prawodawstwa robotniczego, nauczania nauk społecznych, kilka pedagogicznych (szkół wyższych, niższych, średnich, wychowania fizycznego), kolonialny, prawodawstwa porównawczego, filozoficzny, nauk przedhistorycznych, historyi porównawczej, historyi religii, psychologiczny, etnograficzny, geograficzny, praw kobiety, folklorystyczny itd.; z nieurzędowych wspomnę na razie o socyologicznym.

Wybrał taką chwilę jednego ranka, kiedy jego pan się golił i nieśmiało zaczął:

— Panie baronie...

— Co, mój chłopcze?

— Mnie, bo widzi pan baron, nie potrzeba lekarstwa...

— Czegóż więc?

— Ożenić się...

Mój ojciec odwrócił się zdumiony:

— Co mówisz? co mówisz? Hę?

— Ożenić się...

— Ożenić? To ty może... zadurzyłeś się... błaźnie jakiś?...

— Tak jest, panie baronie.

Mój ojciec zaczął się śmiać, ale to tak, że aż matka moja zapytała przez ścianę:

— Co ci jest, Gontranie?

— Chodź tu, Kasiu! — zawołał ojciec.

A kiedy weszła, opowiedział jej, cały zapłakany od śmiechu, że jego kamerdyner choruje poprostu z miłości.

Matka się nie śmiała, ale była rozrzewniona.

— Kogóż ty tak kochasz, mój chłopcze?

Nie wahając się, odpowiedział:

— Ludwikę, proszę pani baronowej.

A matka na to z wielką powagą:

— No, to postaramy się rzecz całą pomyślnie załatwić.

Zawołano zaraz Ludwikę i mama zaczęła badanie. Dziewczyna się przyznała, że dawno wiedziała o uczuciach Jana, że on jej się oświadczył kilka razy, ale ona go nie chciała. Dlaczego — nie powiedziała.

Upłynęło dwa miesiące, a przez ten czas ojciec i mama nie przestawali nalegać na dziewczynę, żeby wyszła za Jana. Ponieważ utrzymywała, że nie kochała nikogo, więc nie można było zrozumieć jej odmowy. Ojciec nakoniec przełamał jej opór sporą ofiarą pieniężną. Osadzono ich na fermie, tej oto właśnie. Opuścili pałac i ja nie widziałem jej przez trzy lata.

Po upływie trzech lat dowiedziałem się, że Ludwika umarła na chorobę piersiową. Moi rodzice także wkrótce umarli i całe dwa lata następne nie widziałem Jana.

Nareszcie jednej jesieni, pod koniec października, przyszła mi ochota zapolować na tej fermie, utrzymywanej starannie i obfitującej w zwierzynę, jak utrzymywał mój fermer.

Przyjechałem tu więc któregoś wieczoru podczas deszczu. Zdumiałem się, ujrzawszy dawnego żołnierza mego ojca siwego jak gołąb, choć miał dopiero czterdzieści pięć czy sześć lat.

Posadziłem go do stołu ze sobą, do tego samego, przy którym teraz siedzimy. Lało jak z cebra. Deszcz bił o dach, ściany domu i szyby okien, potokami zalewał podwórze, a mój pies tak wył w oborze, jak te dwa teraz w komórce.

Kiedy służąca udała się na spoczynek, Jan odezwał się niespodzianie:

— Panie baronie...

— Co, ojcze Janie?

— Mam panu coś powiedzieć.

— Słucham was.

— Bo to... nie wiem, jak...

— Wszystko jedno, mówcie.

— Pamięta pan Ludwikę, moją żonę?

— Naturalnie, że pamiętam.

— A no, ona mi dała polecenie do pana.

— Polecenie?..

— Ta...k... niby... jak to powiedzieć... wyznanie.

— Wyznanie?.. Cóż takiego?..

— Że... że... Wolałbym jednak nie mówić tego panu... ale trzeba, trzeba... a więc... ona nie umarła na chorobę piersiową... lecz... lecz... ze zmartwienia... ot, co.. powiedziałem nakoniec!..

Od chwili, jak tu przybyła, zaczęła chudnąć, zmieniła się zupełnie. Po upływie sześciu miesięcy nie można było jej poznać, panie baronie. Z nią działo się to samo, co ze mną przed ożenieniem się, tylko że to było co innego, zupełnie co innego... Sprowadziłem doktora. Ten powiedział, że to choroba wątrobiana. Posłałem po lekarstwa, kosztowały więcej, niż sto

francuski, Leon Bourgeois. Cel Towarzystwa określony jest w ustawie, jak następuje: „Założyć najpierw szkołę międzynarodową wystawy powszechnej w r. 1900; organizować podobne szkoły, czyli zjazdy na wystawach późniejszych (dowiadujemy się, że wystawy, które odbędą się w Glasgowie w r. 1901, w New-Yorku w 1902, już urzędownie zwróciły się z prośbą o to do zarządu stowarzyszeń, z czego widać, że mylnemi są pogłoski o tem, jakoby tegoroczna wystawa paryska miała już na zawsze zamknąć erę wystaw); prócz tego zapewnić współpracownictwo umysłowe różnych krajów przez utworzenie biura centralnego dla stałych stosunków między ciałami uczonemi, towarzystwami naukowemi, uniwersytetami i szkołami wszystkich narodów. Stowarzyszenie składa się z grup, istniejących po jednej w każdym narodzie (wyraz *nation* oznacza we Francyi, stosownie do okoliczności, państwo, kraj lub narodowość). Mieszkańcy krajów, w których grupy niema, mogą należeć do stowarzyszenia, jako członkowie-korespondenci. Istnieje już przedewszystkiem grupa francuska, której prezesem jest członek Akademii francuskiej i rektor uniwersytetu paryskiego, Greard: oprócz urządzenia szkoły wystawy stawia ona sobie za cel utworzenie we Francyi ośrodków informacyjnych, dotyczących nauk, sztuk i wychowania za granicą i ułatwiających stosunki osobiste między Francuzami a cudzoziemcami, pracującymi na tych niwach; grupa francuska składa się z szeregu organizacyj prowincyonalnych: otrzymała ona już wiele darów pieniężnych. Prócz francuskiej powstało już kilka grup z podobnemi zadaniami w różnych krajach. W Anglii przedewszystkiem: na czele stoi tam profesor uniwersytetu St. Andrews w Szkocyi, Patrick-Geddes, a popierają go Lister, Lubbock i cała asocyacya brytańska; grupa ta już faktycznie kieruje zwiedzaniem systematycznem wystawy przez Anglików. Grupa belgijska także jest już zupełnie zorganizowana z prof. Goblet-d'Alviella, b. ministrem Nyssensem itd. u steru. Organizacya grup jest też na ukończeniu w Stanach Zjednoczonych Amer. półn., w Niemczech (prof. von Bar z Getyngi, Störk z Gryfii, Ullmann z Monachium), we Włoszech (Ferri, Bodio i in.), w Holandyi i Szwajcaryi.

Co dwa lata odbywać się mają zjazdy delegatów i członków grup narodowych; jeżeli jednak zapadaćby miały na nich jakie uchwały, to jedynie jednomyślna zgoda wszystkich grup będzie obowiązująca. Taki to owoc wyrasta pośrednio z tegoczesnej wystawy powszechnej. Zdaje mi się, że należało zwrócić uwagę czytelników naszych na „szkołę wystaw," zarówno dla dopełnienia charakterystyki wystawy paryskiej, jak i dla organizatorów ewentualnej wystawy warszawskiej. Co się zaś tyczy międzynarodowego stowarzyszenia popierania nauk, sztuk i wychowania, to zdaje mi się, że otwiera się tu nowy i ważny warsztat cywilizacyjny, przy którym warto by było postarać się zająć należne i nam miejsce.

K. Radosławski.



PAMIĘTNIK

Papierowe dum-dum.

Już wszystkie mocarstwa wysłały okręty lub wysadziły wojsko w Chinach z wyjątkiem jednego — prasy warszawskiej. Jest to tem dziwniejsze, że ona najbardziej oburzyła się na niegrzeczność Chińczyków względem „cudzoziemskich dyabłów." Nie wystąpiła nawet z własnym projektem „poskromienia zuchwałych barbarzyńców" i „zaprowadzenia między nimi porządku," lecz waży cudze na szalach uczuć humanitarnych. Jednemu z dzienników naszych podobał się pomysł ogłodzenia buntowników, drugiemu — wytępienie zapomocą odpowiedniej ilości sprzymierzonych armat i karabinów, trzeciemu zaś najgenialniejsza z rad: zburzenie grobów rodziny cesarskiej, groźba najbardziej podobno przerażająca Chińczyków. Bądź co bądź, gdyby mocarstwa zechciały załatwienie sprawy powierzyć pewnemu odłamowi prasy warszawskiej, już dziś może porządek panowałby w Pekinie, który nadto zyskałby mocny bruk z czaszek winowajców.

Zapytacie może, jakie pobudki skłaniają warszawskich pogromców do surowych wystąpień a przynajmniej surowych gustów względem buntu chińskiego? Jakie ich interesy są przezeń skrzywdzone; jakie uczucia obrażone tak dalece, że podczas gdy poważne organy opinii urzędowej lub społecznej w Niemczech, Francyi, Rosyi, Anglii itd. zalecają „umiarkowanie," a nawet wobec morderstw pamiętają, iż „à la guerre comme à la guerre" — warszawscy widzowie tragedyi ostrzą na swych językach cudze karzące miecze? Dla wytłomaczenia tej zagadki wystarczą dwie przyczyny: 1) bezmyślność, która często zsyła nam swoje natchnienie polityczne i 2) nożyczki, które spłatały nam już niejeden złośliwy figiel. Jaki mamy pogląd na wypadki historyi współczesnej, to zależy od tego, jakie w redakcyi prenumerujemy gazety zagraniczne. Jeżeli odbieramy nieprzyjazne Burom lub Chińczykom, będziemy gromili Burów i Chińczyków, chociażby oni tylko bronili swego bytu. Tak zwany polityk warszawski, tłomacząc odpowiednie artykuły z *N. fr. Presse, Berl. Tageblattu, Journal des debats* itp., nie dba wcale o to, co mu wypadnie: miłość lub nienawiść. Jeżeli interes, utajony w plagiatowanej gazecie zagranicznej, wymaga, ażeby sławić wysokie posłannictwo Anglii lub geniusz cesarza niemieckiego, kropi się ten sam hymn po polsku bez świadomości jego źródeł i celu. Na nieszczęście dla 400 milionów mieszkańców państwa niebieskiego (o czem oni nie dowiedzą się nigdy) do Warszawy przychodzi wiązka czasopism niemieckich, dyszących zemstą przeciwko Chińczykom. Stąd nasze papierowe pociski dum - dum. Oj, dum-dum!

Wąż morski.

Zanurza się i wynurza... Czyni to co miesiąc, co tydzień, czasami codzień. Zdaje się nawet, że od dwu lat nie zmienił skóry, nie postarzał się ten „projekt centralnego dworca w Warszawie." Jak dawniej, tak i obecnie — według opowieści reporterskich— „ostatecznie opracowany" płynie do Petersburga, skąd wraca „dla poczynienia w nim odpowiednich poprawek," poczem znowu „ostatecznie opracowany" jedzie do Petersburga, skąd wraca itd. Nie wiemy, kto ten nieszczęsny projekt topi i na wierzch wydobywa, zwracamy tylko uwagę, że od czasu jego narodzin było cztery wojny, powstały nowe miasta, zbudowano w Europie kilkadziesiąt wielkich dworców i kilkanaście linij kolejowych, słowem Klio zapisała cały tom historyi nowożytnej, a my dotąd nie wiemy, czy dworzec centralny wogóle powstanie kiedykolwiek w Warszawie i czy jego „ostatecznie opracowany" projekt nie jest wężem morskim. Wartoby raz tę za-

---

franków. Ale ona lekarstw brać nie chciała, zupełnie nie chciała, a wciąż powtarzała:

— Nie warto, mój biedny Janie, to się na nic nie zdało.

Ja już zrozumiałem, że ją coś gryzło. A potem zastałem ją raz płaczącą... nie wiedziałem już, co robić, doprawdy nie wiedziałem. Zacząłem sprawiać suknie, kapelusze, kupować pomady do włosów, kolczyki — wszystko nadaremnie. Sam już widziałem nakoniec, że musi umrzeć...

Wreszcie jednego wieczora, pod koniec listopada, kiedy śnieg padał, kazała sprowadzić sobie księdza. Cały dzień leżała w łóżku. Poszedłem po proboszcza. Jak tylko przyszedł, rzekła, zwracając się do mnie:

— Słuchaj, Janie, ja muszę ci coś wyznać. Jestem ci to winna. Nigdy cię nie oszukiwałam, nigdy, ani przed, ani po wyjściu za mąż. Ksiądz proboszcz może to zaświadczyć, on przecie zna moją duszę... Słuchaj więc, Janie, jeśli umieram, to z żalu, że nie mogłam zostać dłużej w pałacu... a to dlatego, że miałam za dużo przyjaźni... za dużo przyjaźni dla pana barona René... Przyjaźni, słyszysz, nic więcej... i dlatego umieram. Kiedy go nie mogłam już widywać, poczułam odrazu, że żyć nie będę. Gdybym go była widzieć mogła, nie umarłabym — tylko widywać, nic więcej. Chciałabym, żebyś mu to powiedział wtedy, kiedy mnie tu już nie będzie... Powiesz mu?... Przysięgnij mi, Janie... przysięgnij... przed księdzem proboszczem... Mnie będzie lżej umierać z tą pewnością, że on się dowie, dlaczego umieram... widzisz... przysięgnij więc...

— Więc ja przysięgłem, panie baronie, i dotrzymałem słowa...

Umilkł i patrzył mi w oczy.

*

— Nie masz pojęcia mój drogi, jakie ogarnęło mną wzruszenie, słuchając opowiadania tego biedaka, któremu nieświadomie zabiłem żonę.

— Mój biedny Janie, mój biedny Janie — probowałem go pocieszać.

— To tak było, panie baronie — odrzekł cicho. — Ja nie nie mogłem... nic... stało się.

— Wyciągnąłem do niego przez stół ręce i zacząłem płakać.

— Czy chcesz pan pójść na jej grób?

Dałem znak głową, nie mogąc wymówić słowa.

Podniósł się, zapalił latarnię i wyszliśmy w deszcz, którego ukośne, szybkie jak strzały padające krople nasza latarnia oblewała nagłem światłem. Otworzył furtkę i ujrzałem las czarnych, drewnianych krzyżów.

— To tu! — rzekł, zatrzymując się przed płytą marmurową i stawiając latarnię tak, żebym mógł przeczytać napis:

Ludwika Hortensya Marinet,
żona Jana Franciszka Lebrument,
rolnika.
Była wierną żoną. Niech Bóg czuwa nad jej duszą.

Uklęknęliśmy obaj w błocie, on i ja, mając latarnię między sobą. Patrzyłem, jak krople deszczu padały na biały marmur i odskakiwały, rozpryskując się w pył wodny, a potem z czterech brzegów zimnego i nieprzepuszczalnego kamienia spływały na ziemię i myślałem o sercu tej, która umarła... Biedne serce!.. biedne serce.

Od tej pory przyjeżdżam tu co rok i nie wiem czemu, ale doznaję takiego uczucia, jak gdybym zawinił wobec tego człowieka, który, zdaje się, wszystko mi przebaczył.



gadkę publicznie rozwiązać i nie zapełniać szpalt dziennikarskich czczemi doniesieniami, które przez pewien czas mogły nas wzruszać, potem zajmować, ale obecnie już tylko śmieszą i kompromitują.

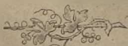
Wystawa róż.

Wyznajemy, że ile razy Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze zapowie wystawę, uczuwamy dreszcz niepokoju, a w nim przypomina nam się dowcipny wierszyk *Kuryera świątecznego* z przed kilku laty:

Cztery jabłka i pięć gruszek,
Które Magda pod fartuszek
Bez frasunku sobie schowa —
To wystawa owocowa.

Później było lepiej, ale zawsze kulawo. Obecna wystawa róż miała bardzo smutną poprzedniczkę, ale też nie odrodziła się od niej. Musiano królowej kwiatów dodać aż kilka wiązek warzyw, ażeby nie wyglądała zbyt ubogo. Było to coś podobnego, jak gdyby w programie koncertu Chopina pani Ćwierciakiewiczowa ugotowała na estradzie smaczny obiad. Ale mniejsza o to: pomińmy szparagi i pomidory, a zwróćmy się do róż. Zebrały się w niewielkiej ilości co do odmian i (biorąc ogólnie) w bardzo skromnych okazach. Nowości nie widzieliśmy prawie wcale. Trudno było oczekiwać innego popisu. Cokolwiek śpiewają nasi poeci o maju i cokolwiek szczebioczą nasze damy o bukietach w karnawale, my nie kochamy kwiatów. Gladstone stawał na trybunie w parlamencie z różą w klapie tużurka; gdyby u nas tak się przystroił prelegent w Muzeum przemysłu, powiedzianoby, że chciał kokietować młode słuchaczki. Niepodobna byłoby w Niemczech lub Francyi znaleźć willi bez kwietników; tymczasem zwróćcie uwagę na letnie, często bardzo okazałe domki wzdłuż kolei Nadwiślańskiej: oprócz sosenek nic tam nie rośnie, ani jednej barwnej grządki, ani jednego ozdobnego krzaczka, chociaż cały nakład wyniósłby kilka rubli. Królestwo róży liczy obecnie parę tysięcy odmian. Z tego ogromnego zastępu Warszawa wie o Nielu i La France — jako szczytach piękności. Do dziś możecie spotkać „znawców," którzy sądzą, że róże „sztamowe" stanowią grupę najszlachetniejszych, ani przeczuwając, że „sztamową" jest każda zaszczepiona na pieńku. Wobec tak skromnych potrzeb i jeszcze skromniejszej wiedzy, ogrodnicy nasi, chociaż niektórzy posiadają bogate zbiory, hodują niewiele gatunków i wcale nie najdoskonalszych, mianowicie te, które łatwo dają się pędzić w cieplarniach, które obficie kwitną, które nieprędko więdną i które mają kwiaty na długich pędach, przydatnych do wiązania. Resztę pozostawia się w donicach lub na zagonach „pro honore domus" i dla garstki amatorów. Za granicą każda istotnie piękna nowa róża natychmiast rozpowszechnia się i przechodzi do ogrodów prywatnych, u nas dowiaduje się o niej dziesięcioro ludzi. Tak np. ile u nas możnaby narachować dworów wiejskich, przed którymi zwieszałaby swe cudowne warkocze Crimson Rambler? W ilu bukietach odszukalibyśmy Augustę Wiktoryę, Karolinę Testout lub Maman Cochet?

Kto tedy i co ma wystawiać? Nie winmy ogrodników, którzy są i muszą być przemysłowcami i kupcami, dogadzającymi wymaganiom ogółu. Wyrzucajmy sobie, że nie mamy ani miłości, ani szacunku dla kwiatów, które potrzebują nietylko dobrej ziemi, ale kochających je ludzi.



BADANIA NAUKOWE.

Z PRZESZŁOŚCI PRZEDHISTORYCZNEJ.

I.

Paletnologia a postępy geologii. — Zmiany w ukształtowaniu lądu europejskiego za czasów istnienia rodu ludzkiego. — Obszary pomiędzy morzem Aralskiem a Kaspijskiem. — Przeszłość Sahary. — Powolne zmiany i kataklizmy. — Epoki lodowcowe. — Pokrewieństwa rasowe.

Postępy paletnologii, tj. nauki, badającej przeszłość rasową rodu ludzkiego, jego prasiedziby, wędrówki i zmieszania, wiążą się jaknaściślej z rozwojem naszej znajomości prastarego rozmieszczenia wód i lądów. Antropolog, który pragnie odsłonić chociaż nieco rąbek tajemnicy, spoczywającej na ubiegłych wiekach istnienia naszego gatunku, musi nie spuszczać oczu z przyczynków, gromadzonych przez geologię. Wywody jego bowiem mogą okazać się budowlą bez fundamentów, jeśli będzie wysnuwał hypotezy o przeszłości rodu ludzkiego, nie uwzględniając dróg lądowych, wzdłuż których rasy rozchodziły się po powierzchni globu. O doniosłości takich studyów porównawczych, wiążących wyniki geologii z wskazówkami antropologii, świadczy nowa praca *Vacher de Lapouge'a*, poświęcona rodowodowi blondynów długogłowych, oraz ich psychologii. Autor wziął pod uwagę najświeższe rezultaty badań nad ukształtowaniem Europy podczas bieżącej i bezpośrednio wcześniejszej epok geologicznych, a w następstwie tego doszedł do wniosków, które kłam zadają dotychczasowym poglądom na wzajemny stosunek rasy mongołokształtnej a europejskich i wogóle w nowem świetle przedstawiają przeszłość rasową Europy.

Zanim przyjrzymy się rezultatom antropologicznym poszukiwań badacza francuskiego, winniśmy zapoznać się z geografią Europy podczas wieków ubiegłych.

Siły, przekształcające rozmieszczenie wód i lądów na glebie są nieustannie czynne. I w chwili obecnej działają one, zwolna podnosząc pewne części lądu europejskiego, zniżając poziom innych, wywołując zmiany jeszcze dalsze. Obszary, leżące pomiędzy morzami Kaspijskiem a Aralskiem, dostarczają przewybornego przykładu takich powolnych przekształceń, w ciągu tysiącoleci nie zawieszających swojej działalności. Herodot oblicza szerokość morza Kaspijskiego na 15 dni w kierunku równoleżników szerokości i na dni 8 wdłuż południka. Świadectwo to, gdyby można było uważać za wiarogodne, dowodziłoby, iż za czasów tego pisarza greckiego morze Kaspijskie łączyło się z Aralem. Spór może zresztą dotyczyć jedynie punktu, o ile twierdzenie Herodota odpowiada rzeczywistym stosunkom, istniejącym za jego czasów, bo że ongi wody obu tych zbiorników stanowiły jedną zwartą całość, że jeszcze wcześniej—wciąż w granicach naszej epoki geologicznej — łączyły się one z morzem Azowskiem, rozciągały się daleko na północ aż do miejsca, w którem Kama wpada do Wołgi i stanowiły zamknięty obszar wód, zasilany przez Dunaj i inne dopływy. Są to fakty, utrwalone przez geologię w sposób, nie pozostawiający wątpliwości. Przerwanie lądu połączyło to wielkie morze wewnętrzne z wodami śródziemnomorskiemi i dało początek ukształtowaniu dzisiejszemu: morze Kaspijskie z biegiem czasu oddzieliło się od Czarnego, jeszcze później Aralskie wody, nie zasilane dopływami, wysychają, a proces ten trwa i obecnie, zagrażając nadaniem przyległej okolicy charakteru suchej pustyni.

Taka sama zmiana zaszła za czasów istnienia człowieka w Europie i w epoce nie zbyt odległej z obszarami Sahary obecnej. Suchy, jałowy charakter wielkiej pustyni afrykańskiej w żadnym razie nie liczy więcej nad 4—6 tysięcy lat, tj. jest późniejszego pochodzenia, niż początki cywilizacyi. Północne okolice Sahary były wtedy pokryte gęstym lasem dziewiczym, zraszanym przez obfite opady atmosferyczne. Takiego widoku trzeba szukać dzisiaj bardziej na południe, w porzeczu rz. Kongo, z tą różnicą, iż temperatura była bardziej umiarkowana i równomierna. Pasmo Atlasu i gór, poczynających pustynię, było wyższe i spełniało rolę kondensatora opadowego. Zmiana klimatu nastąpiła pod wpływem przewrotu, który odbył się w granicach lądu amerykańskiego. Dość przypuścić, iż cieśnina Florydzka była zamkniętą, a cały brzeg Golf-streamu wyglądał inaczej, szedł bardziej na wschód i przynosił obfite opary w kierunku Marokka i Hiszpanii, stwarzając tam łagodny, stały i bardzo wilgotny klimat. Kataklizm, który oddzielił Wielkie Antylle od Florydy, zrodził Saharę.

Zmiany, które osuszyły południowo-wschodnią Rosyę i stworzyły Saharę, zaszły już w okresie, kiedy w Chaldei i w Egipcie cywilizacya wzrastała i zwiastowała nową epokę w dziejach rodu ludzkiego. I ukształtowanie ostateczne zbiornika śródziemnomorskiego wód, lubo wcześniej dokonano wybiega po za czasy historyczne. Ale ród ludzki prawdopodobnie na całe dziesiątki, a może setki tysięcy lat wyprzedził powstanie ognisk cywilizacyjnych. Istnieje on w okresie pleistoceńskim, jest świadkiem olbrzymich przewrotów, które stworzyły ocean Atlantycki w obecnej jego postaci, przebył parę okresów lodowcowych.

Dzieje człowieka przedhistorycznego w Europie są nieodłącznie związane z historyą okresów lodowcowych.

Geikie dla okresu pleistoceńskiego wyróżnił w Europie północnej i środkowej dziesięć zmian klimatu, kolejno cieplejszych i chłodniejszych, z odpowiedniemi fauną i florą, które podczas przeciągów niskiej temperatury zbliżały się do stosunków podbiegunowych, podczas podwyższeń zaś posiadały charakter, właściwy strefie umiarkowanej. Pierwsze zmiany odznaczały się zarówno większą długością, jak i bardziej napiętemi różnicami w temperaturze. Zaczynając jednak od drugiej epoki lodowcowej, każda z następnych przedstawia klimat mniej chłodny i nie tak rozległą skorupę lodową, o ile bierzemy okres spadku temperatury, natomiast w okresach cofania się lodów temperatura przeciętna była coraz niższą. Z pośród epok lodowych ostatnia, najsłabsza, przypada — według Lapouge'a — na czasy odległe od nas o 5,000 lat, nie więcej. Jest ona piątą z rzędu. Druga była dłuższą i może najdłuższą. Pokrywa lodowa, leżąca na powierzchni Europy, przedstawiała w niektórych miejscach warstwę grubości paruset metrów, a południowa jej krawędź przechodziła przez Bristol, Antwerpię, Magdeburg, Wrocław, Lwów i Kijów — wiele z punktów, leżących pod lodem, potem znalazło się pod morzem. Po nad śnieżnemi polami sterczały wierzchołki gór Skandynawskich i Szkockich. Zdaje się, temperatura nie była zbyt ostrą, klimat był bardzo wilgotny. Ląd europejski na zachodzie i północo-zachodzie wrzynał się dalej, niż obecnie, w morze; góry obecne były wynioślejsze, morze Śródziemne istniało tylko w zachodniej części swojej, Nil, do którego wpadały rzeki Syryi, wlewał wody swoje do morza w pobliżu Krety dzisiejszej. Czy istniał naówczas człowiek w naszej części świata, na to nie

mamy żadnych dowodów. Pierwsze świadectwa jego obecności pochodzą z okresu cieplejszego, który nastąpił bezpośrednio po tylko co przedstawionem panowaniu lodów. Żyje on wśród fauny, której przedstawicieli, różne koty wielkie, słonie, hipopotamy itd., odnajdujemy zmieszanych z jego narzędziami w jaskiniach. Europa łączyła się naówczas z Afryką północną wzdłuż dość wysokiego równoleżnika szerokości.

Po pierwszej epoce lodowcowej następuje druga, trzecia i czwarta, poprzedzielane przez okresy cieplejsze. W dzisiejszym stanie geologii niepodobna dokładnie wyznaczyć granic lodów i tem samem i dzieje ludzkie nie mogą być przedstawione w sposób ciągły. Nadto i zmiany, które zachodzą w ukształtowaniu lądu, odbywają się w kilku punktach naszej części świata w najzupełniejszej od siebie niezależności, tak iż trudno je zawrzeć w jednym obrazie. Stosunki w śródziemnomorzu zmieniają się niezależnie od przekształceń w okolicy Bałtyku, te zaś niczem nie są związane ze zmianami na północo-zachodzie. Lądy się podnoszą, to znowu obniżają, ażeby znowu ulodz podwyższeniu. Bałtyk jest już częścią morza Lodowatego, to zamkniętem jeziorem wody słodkiej, a nawet bagniskiem, to znowu łączy się z morzem Północnem za pośrednictwem jezior szwedzkich. Niektóre z tych zmian odbywały się wolno, inne prawdopodobnie były dziełem dość gwałtownych kataklizmów.

Człowiek — jak zaznaczyliśmy — jest świadkiem tych licznych zmian. Za jego obecności powstaje Adryatyk i morze Egejskie, oraz wody morza Śródziemnego łączą się z utworzonem morzem Czarnem, ustaje łączność Anglii z lądem, Europy zaś z Afryką północną; olbrzymi zbiornik z południo-wschodu Rosyi zmalał do rozdzielonych mórz Kaspijskiego i Aralskiego, Sahara z lasu dziewiczego stała się pustynią. Wszystkie to zmiany wywoływały prawdopodobnie i zmianę miejsca przez rasy ludzkie: istota ludzka opuszczała pewne okolice, zmuszona przez przekształcenie klimatyczne i wędrowała gdzieindziej. Istniejące połączenia i przeszkody rozstrzygały o kierunku wychodźctwa i wyznaczały szlaki zarówno wędrówek rasowych, jako też mieszania się, które odbywało się pomiędzy oddzielnymi szczepami rodu ludzkiego. Związek, jaki istniał pomiędzy naszym lądem a Afryką północną, czyni prawdopodobnem przypuszczenie, iż obie te części świata wymieniały pomiędzy sobą nietylko okazy świata roślinnego i zwierzęcego, lecz także i przedstawicieli gatunku *Homo*, a hypoteza, usiłująca wyprowadzić Eskimów od mieszkańców Europy drugiego okresu cieplejszego, który nastąpił po drugiej epoce lodowej, niezaprzeczenie należy do rzędu możliwych przypuszczeń. Gdy chodzi o rodowody ludów europejskich, to zwłaszcza dwa fakty wymagają uwzględnienia — jeden, ściślejszej ongi łączności Europy z Afryką, drugi — wyodrębnienia naszej części świata od Azyi, z którą dzisiaj jest tak związana. Wody istotnego morza Śródziemnego, którego szczątkami są Aral i morze Kaspijskie, pokrywały przestrzeń na północ aż do Kamy; morze Lodowate było z drugiej strony rozleglejsze i bardziej posuwało się na południe; w okresach lodowych lody prawie dochodziły wód kaspijskich. Stosunki te odcinały Europę od Azyi i zamykały drogę wszelkim migracyom rasowym. Wzdłuż i wszerz obszarów Rosyi zetknięcie się typów europejskich z azyatyckimi było niemożliwe. Nastąpiło ono tutaj względnie bardzo późno i w żadnym razie nie liczy więcej nad parę tysięcy lat. Jeżeli żółtoskórcy spotykali i oddziaływali na blondynów i śródziemnomorców, dokonywali tego w zgoła innych punktach. I właśnie wykazanie, iż oddziaływanie wzajemne pomiędzy tylko co wymienionymi szczepami rozpoczęło się względnie niedawno, należy do donioślejszych rezultatów ostatniej pracy Lapouge'a — rezultatów, które pchnąć muszą paletnologię na tory zupełnie nowe *).

Natomiast inny punkt, blizkiej łączności antropologicznej pomiędzy Europą a Afryką należy do wywodów, oddawna wygłaszanych w nauce. Lapouge przypuszcza, iż rasa *Homo priscus*, silnie długogłowa, do której należą czaszki znalezione w Spy i Chancelade, była rozmieszczona na przestrzeni nietylko Europy, lecz i Afryki północnej. Jest ona, jego zdaniem, pniem, z którego wzięli początek długogłowcy podbiegunowi (Eskimowie) z jednej strony, z drugiej zaś, po przez dalsze zmiany, powstały typy semickie, śródziemnomorskie i chamickie, blondynowe, wreszcie *Homo spelaeus* i *Homo contractus* (oba ostatnie zaludniały Europę w okresie pleistocenicznym). Nie jest bynajmniej rzeczą wykluczoną, iż *Homo priscus* przedstawiał szczep pokrewny przodkowi dzisiejszego długogłowego czarnoskórca. Pod wpływem temperatury i wilgoci pigmentacya skóry u jednych odmian stawała się obfitszą, u innych słabszą, tymczasem kształty czaszki, odznaczające się większą odpornością, pozostały bez zmiany, tj. zachowały dawną długą budowę.

Przyjrzawszy się ukształtowaniu lądu europejskiego podczas pleistocenu, oraz pokrewieństwu rasowemu, wyznaczanemu przez związek jego z innemi częściami świata, przejdziemy w następnym artykule do dziejów rasowych Europy, tj. odmian, które, w toku wieków, były mieszkankami naszej części świata. Znamy z nazwiska najstarożytniejszą z pośród nich, a mianowicie rasę *Hominis prisci*.

*) G. Vacher de Lapouge: *l'Aryen, son role social.*

HISTORYA.

Maryan Dubiecki: *Kudak, twierdza kresowa i jej okolice.* Warszawa, 1900, str. 154.

Jest to, według zapewnienia okładki, wydanie „nowe, przejrzane i powiększone." Powiększenie jednakże nie pociągnęło za sobą zmian znaczących, wydatniejszych, w stosunku do pierwotnego tekstu, przesłanego na jubileusz Kraszewskiego.

Układ pracy pozostał ten sam, co i w pierwszej edycyi, to jest uderza w nim nadmierna obfitość rozmyślań, dumań i uwag subjektywnych, pochłaniających faktyczną osnowę opowiadania, które tym sposobem wydaje się jeszcze szczuplejszem i marniejszem, niż jest w istocie. Przedmiot, uwolniony od ozdób i zachwytów retorycznych, sprowadza się do bardzo skromnej wiązki zdarzeń historycznych, najpospolitszej doniosłości. Założenie na wschodnich kresach Rzeczypospolitej, bezpośrednio przed epoką rebelii Chmielnickiego, maluczkiej twierdzy Kudak, przeznaczonej do poskromienia uroszczeń „czerni kozackiej," nie nosi na sobie nawet cech inicyatywy oryginalnej, swojskiej. W r. 1634 pokój Polanowski z W. Ks. Moskiewskim, zamykający smoleńską wyprawę Władysława IV i zapewniający Polsce posiadanie obu brzegów górnego Dniepru, nie zażegnywał bynajmniej ciężkiej groźby i kłopotów pietrzących się nad dolnym Dnieprem, czyli nad tak zw. „Niżem zaporozkim." Właśnie, w chwili, gdy Władysław IV odbywał w Wilnie swój wjazd tryumfalny, uroczyście uświęcający nabycie Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny, od Turcyi przybywał poseł, butnie i szorstko żądający poskromienia zuchwałych najazdów Siczy kozackiej. Nie śmiano dać posłowi sułtana odprawy doraźnej; zabawiano go czas jakiś przyjęciami dworskiemi, ucztami, polowaniem, pokazywano po drodze z Wilna olbrzymie drzewa i żubry puszczy białowiezkiej, później wysokie kościoły i urodziwe córy stolicy nadwiślańskiej. Poseł oddawał sprawiedliwość i drzewom i ludziom, ale od swego nie odstępował. Wojna wisiała już na włosku, król rozesłał wici zwołujące pospolite ruszenie i ku jesieni 1634 zjechał do Lwowa. Tu jednak, w ostatniej chwili udało się hetmanowi w. k. Stanisławowi Koniecpolskiemu zażegnać burzę; stanął z Turcyą pokój na warunkach przez sułtana narzuconych: hetman solennie, w imieniu Rzeczypospolitej, zobowiązał się ostatecznie poskromić swawolę kozacką...

Skutkiem narad lwowskich Koniecpolskiego z królem, zapadły rozmaite uchwały, najpierw gabinetowe, następnie sejmowe (1635 r.), „srodze i bezlitośnie" ścieśniające „złośliwe a uporczywe wybijanie się chłopstwa z winnego posłuszeństwa," oraz łamiące „upór i hardość chłopską" — jak się wtedy wielki hetman koronny wyrażał o aspiracyach kozackich. Zasadniczo punkta owych uchwał, powołanych „w piękny porządek ująć Kozaków" dotyczyły zmniejszenia liczby Kozaków „regestrowych" (stanowiących wojsko Rzeczypospolitej) do 7,000 i zaciągnięcia reszty (pozaregestrowej) w poddaństwo prywatne; nakazano przytem, dla przecięcia ucieczki chłopstwa za porohy, do Siczy, na Zadnieprze pomiędzy kozactwo wolne i niezawisłe, wznieść sumptem 100,000 złotych przy porohu „Kojdackim" twierdzę, zdolną poskromić wszelkie poruszenia i zbiegowiska „chamskie." W lipcu 1635, w cztery miesiące po wydaniu ordynacyi sejmowej, „Kudak" już był w zarysach głównych gotów. Nasypy ziemne, wzniesione na prawem, wyniosłem pobrzeżu Dniepru, płynącego w tem miejscu łożyskiem wązkiem, inżenier Bauplan tak uszykował, że z pierwszego rzutu oka znać było, iż działa na nich bynajmniej grozić nie mogły nieprzyjacielowi, nadciągającemu od stepu, od strony „pól dzikich," kędy się przechadzały nawałnice tatarskie: wymierzone one były ku temu, aby panować nad nurtami Dniepru i ujściem do niego, na pobrzeżu lewem, rzeki Samary. Patrząc ze wzgórza, gdzie stanęła twierdza—pisze p. Dubiecki, który szczątki wałów dokładnie zbadał na miejscu — wybornie uwydatniało się jej przeznaczenie: było niem stanowcze przecięcie wszelkiego zestosunkowania ziem ukrainnych, osiedlonych, w poddaństwie zostających, z dolnym Niżem, czyli Siczą, siedzibą zaporożców, ukrytą po za „progami," zaporami i po za siecią wysp dnieprowych.

Z krótkiej i wielce treściwej historyi Kudaka domyślić się wolno, że powołaniu swemu skromna reduta odpowiedziała zaszczytnie ze stanowiska militarno-strategicznego—odpornego wyłącznie. Opadnięta w czasie wojen Chmielnickiego, od r. 1648, przez tłumy kozactwa, broniła się ona dzielnie, do upadłego. Kiedy główne siły rebelii chłopskiej, posiłkowanej przez Tatarów, łamały opór hetmanów polskich pod Żółtemi Wodami, Korsuniem i Pilawcami, oblężenie garstki załogi polskiej w Kudaku, dowodzonej przez Grodzickiego, powierzono „pułkownikowi" Maksymowi Nesterence i niżowcom, wspieranym przez niezliczone tłumy ludu wiejskiego. Przewaga liczby niewiele jednak znaczyła wobec kilku setek wyćwiczonego żołnierza Grodzickiego i trzynastu jego armat, przeciwko którym oblegający wystawić jedynie mogli zwarte szeregi jazdy, bez dział i piechoty. Jak w wielu innych tego rodzaju zapasach, tak i w tym wypadku, dopiero głód i wyczerpanie amunicyi położyły kres kilkumiesięcznej obronie. O kapitulacyi nie było mowy; na mo-

cy ugody solennie zaprzysiężonej przez wszystkich dowódców „wojska Jego Kr. Mości zaporozkiego“ załoga miała być tylko przeprowadzona na pewniejsze i bezpieczniejsze miejsce — ale to jej nie uchroniło od posiekania, rozgrabienia i jasyru. Krzysztof Grodzicki i kilku innych, po wycierpieniu wielu śmiertelnych obaw, odzyskali wolność dopiero po paru latach, w następstwie rozmaitych rokowań, których dziś nawet nie sposób odczytywać bez pewnego upokarzającego uczucia... Kudak został na razie zburzony, reszty dokonała wszechniszcząca ręka czasu...

To zaś, co we wspomnieniach i w dotąd trwających następstwach pozostało, czy zasługuje na pełne liryzmu komentarze, jakimi swe opracowanie opatrzył autor? Nie rażą wprawdzie nikogo i niczyjego gniewu budzić nie powinny zapowiednia p. Dubieckiego, powtarzane zresztą zbyt niewolniczo za Szajnochą („Dwa lata dziejów“), gdy nam od wstępu prawi, iż „praca pionierów cywilizacyi polskiej — praca kapłana i rolnika — rozszerzały i umacniały miedze Rzeczypospolitej“ — i że „tam, dokąd doszedł kapłan z krzyżem w dłoni, tam, gdzie zdołał sięgnąć pług polskiego szlachcica rolnika, legły granice Rzeczypospolitej i zaszczepiono na ugorach zawiązki kultury zachodnio-europejskiej.“ Ale te same prawdy, roztaczające się w amplifikacyach długich, rozcieńczonych i ckliwo-słodkich, rodzą wprost niesmak i obrzydzenie przy sypaniu i rozsypywaniu szańców Kudaka...

Dziwne zaślepienie! Gdyby autor poprzestał był na gołej apologii Koronowiczów, bez dat i bez faktów nic by przeciwko jego historyozofii świątobliwie-kulturalnej nie było do nadmienienia. Ale p. Dubiecki przytacza lata, powołuje się na konstytucye sejmowe, na nadania królewskie... Niewątpliwie, oręż polski stawał w Kudaku w obronie pługa i krzyża polskiego, ale bronił ich w latach 1635—1648, kiedy polskość na Rusi zaprzęgała do owego pługa Kozaków „regestrowych,“ to jest rycerstwo, mające na mocy aktu lubelskiego z r. 1569 te same prawa, co i rycerstwo litewskie lub lechickie; a jeśli o krzyżu mowa, to niósł go wówczas kapłan polski na kresy wschodnie nie pomiędzy pogan, nie pomiędzy dzicz tatarską, lecz pomiędzy chrześcian wyznania wschodniego — tego samego wyznania, które na mocy aktu brzeskiego z r. 1596 nie potrzebowało już być nawracane kulami armatniemi... A przytem, skoro *cywilizacyjne* znaczenie Kudaku tak wątpliwie się przedstawia na tle czysto-polskich przesłanek społeczno - prawnych, to rodzi się pytanie, jak rzecz ta wyglądać mogła i wygląda na tle stosunków lokalnych, rodowo-ruskich? W odpowiedzi na to wystarczy przytoczyć parę faktów, podanych przez samego p. Dubieckiego.

Na przeciwległym brzegu Dniepru, ostrzeliwanym przez działa Kudaku, roztaczał się żyzny i piękny kraik, mniej od innych okolic Niżu wystawiony na spustoszenia najazdów tatarskich. W kraiku tym, pod miasteczkiem Samarem znajdował się monaster, fundowany przez Kozaków w roku nadania im tych ziem przez Batorego. Rycerstwo zaporozkie wzniosło przy monasterze szpital, zostający pod opieką mnichów wschodniego kościoła; urządzono też obok monasteru szkółkę początkową dla dzieci tych zaporozców, co opuszczali Sicz i zrywali z celibatem... Słowem, był to zarodkowy okaz oświaty ruskiej. Otóż, zaraz w pierwszym roku istnienia Kudaku, komendant kudacki, niejaki Jan Marian, w towarzystwie komisarza Rzeczypospolitej, Szyjałkowskiego (czy też Przyjałgowskiego, jak się genialnie domyśla autor), urządził z „drabantami“ swymi wyprawę na ów brzeg lewy, nie znajdując na brzegu prawym dostatniej zdobyczy. Monaster złupiono. Ale łupieżców dopędzili w odwrocie Kozacy, łupy odbili i ujętego Przyjałgowskiego powiesili na polu walki... Nie dość tego. Chciało nieszczęście, że akurat w czasie zatargu, wracał z jednej ze swych wypraw czarnomorskich sławny Sulima — ten sam Sulima, który niedawno ofiarował był papieżowi Pawłowi V pochwycony okręt turecki z całą jego załogą, za co otrzymał osobliwe błogosławieństwo ojca św. Dowiedziawszy się o pogromie i profanacyi świątyni samarskiej, Sulima zebrał naprędce mołojców, przeprawił się nocą na prawy brzeg Dniepru, uderzył na Kudak, załogę wyciął i twierdzę z ziemią zrównał... Czynów takich — dodaje p. Dubiecki — „tysiące popełniła ta sama szlachta, która głosem oburzenia i niezwykłej srogości odpowiedziała na wieść o zamachu Sulimy...“ Bądź co bądź, konfederacką swą śmiałość Sulima przypłacił życiem. Kudak odbudowano bez zwłoki. Po co?

Sam oręż już nie wystarczał dla obrony pługa i krzyża. Kudak staje się ogniskiem czujnej, wszechstronnie rozwiniętej administracyi tajnej. P. Dubiecki przytacza za Szajnochą następujące świadectwo z dyaryusza Stanisława Oświęcima: „Upatrując hetman (Koniecpolski) kruchą i często wiarołomną Kozaków zaporozkich wierność i zawziętą przeciwko Lachom złość, miał zawsze pilne na sprawy i *prywatne ich postępki* oko, aby wszystkiemu wczesne mógł dostarczyć lekarstwo... A lubo też i oni o wielkiej jego wiedząc nad sobą straży, ostrożnie we wszystkich swoich postępowali zamysłach, nie mogli jednak uchronić się od tego, aby mu wszystkie ich, aby najtajniejsze sprawy, nie miały być wiadome, przez szpiegów *bardzo skrycie między nimi rozsądzonych*.“

Zdawałoby się, że niewielka wiązanka takich i tym podobnych wiadomości kronikarskich, ostaćby się mogła o własnych siłach; tymczasem, trzy czwarte książki p. Dubieckiego, poświęcone zostały na rzęsiste oblewanie owego na wieki już zasuszonego materyału łzami żalu i ubolewania, że po upadku Kudaka już „losy odjęły Polsce możność rozszerzania w kraju zdziczałym uprawy pługa — a z nią dobrodziejstw cywilizacyi...“

J. Rajczyc.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

W. L. Cross: *The development of the English Novel*, Londyn, 1900. — Nowe powieści. — H. Ramsden: *The New Misticizm in the scandinavian litterature* (*The Ninet. Century*, luty, 1900).

Prof. W. L. Cross rozpatruje historyę romansu angielskiego z punktu widzenia teoryi ewolucyi. Główne prawo, rządzące tą ewolucyę, to prawo akcyi i reakcyi: po realizmie następuje zwykle idealizm. Tak początków romansu angielskiego należy szukać w „Robinsonie Crusoe“ Daniela Defoe (1719), który był protestem przeciw naśladownictwu fantastycznych i rycerskich powieści, tłomaczonych z francuskiego i włoskiego. Defoe nadał romansowi awanturniczemu charakter realistyczny. Takąż samą reformę wprowadził w dwadzieścia lat później Richardson do powieści rycerskiej i miłosnej. Jego „Pamela,“ „Clarissa Harlowe“ i „Grandisson“ mają swe źródło w ówczesnych romansach heroicznych francuskich, tylko Richardson wyrzucił z nich wszelkie akcesorya zbyteczne i nadał im charakter psychologiczny i moralizatorski. Przeciw temu idealizmowi występuje Fielding w swoim „Joseph Andrews,“ oparty na Cervantesie, Lesage'u i Defoem i mającym na celu ośmieszenie czułostkowości Richardsona. Szczytu realizmu dopiął Fielding w „Tom Jonesie,“ zadawalając się bezstronnem malowaniem życia angielskiego, przedstawiając jednostki a nie typy lub karykatury. Ale nowy ten rodzaj, stworzony przez Fieldinga, zwyrodniał w ręku Smolletta, a bardziej jeszcze Sterne'a, którzy najmniejszej uwagi nie zwracali na kompozycyę i budowę swych dzieł. Stern oddalił romans od rzeczywistości i zatopił go w falach swego humoru. Goldsmith zbliżył go ponownie do ziemi, ale pisał właściwie nie powieści, lecz poezye prozą.

Wiek XVIII dał również początek w Anglii romansowi ewangelicznemu (Henryk Brooke), pedagogicznemu (Tomasz Dag), socyalistycznemu (Holcroft), wielkoświatowemu (Burney), kosmopolitycznemu (miss Edgeworth), satyrycznemu (Jane Austen), „gotyckiemu“ (H. Walpole, pani Radcliffe, Lewis).

Z pojawieniem się W. Scotta wszystkie te rodzaje zanikają na czas pewien, ale w ciągu XIX w. odradzają się powoli w dziełach Dickensa, Poego, Jerzego Elliota, Karoliny Brontë, Thackeraya, W. Morrisa i Stevensona. Autor skrupulatnie wykazuje, iż źródła dzieł wszystkich tych pisarzów znajdują się w literaturze XVIII w. i w ten sposób dowodzi, iż w literaturze, jak i w żadnej innej dziedzinie niema „creatio ex nihilo“: mamy tu zwykłą ewolucyę, odbywającą się na zasadzie praw ogólnych. Widzimy stąd, iż Cross zastosowuje do literatury angielskiej też same metody badania, co Brunetière — do francuskiej. Pisaliśmy w swoim czasie o „Więźniu Zendy“ Antoniego Hope'a, który swemi opowieściami fantastycznemi wzbudza niesłychany zachwyt w Anglii — i dodajmy, zachwyt zasłużony. Autor odznacza się nietylko bogatą wyobraźnią, ale włada pięknym stylem, a jego analiza psychologiczna jest zawsze subtelną. W nowym swym romansie, „Zwierciadło króla,“ które uważanem jest powszechnie za najlepsze jego dzieło, wszystkie te zalety dochodzą do szczytu owego rozwoju. Prawdopodobnie pod wpływem powieści Lemaître'a „Les rois,“ Hope przedstawia tu księcia panującego, który jest najnieszczęśliwszym i najbardziej skrępowanym członkiem królestwa. Zwykły żebrak ma więcej swobody ruchu i czynu, niż on. Stary dyplomata, cynik, w sposób następujący wykłada mu reguły postępowania: „Książę powinien pić z wszystkich kielichów, ale nie wychylać żadnego; znać wszystkie teorye, ale nie przyjmować żadnej; poznawać wszystkich ludzi, ale nie zbliżać się do żadnego. Może być wychowańcem, ale nie uczniem; słuchaczem, ale zawsze krytykującym; przyjacielem, który nigdy jednak nie udziela siebie całego.“ Wszystkie wogóle rady są w tym duchu — machiawelowskim.

Niesłychanem powodzeniem cieszy się w Londynie także romans Ryszarda Whiteinga: „Nr. 5 John Street,“ osnuty na tle społecznem. Jak zwykle w tego rodzaju powieściach angielskich, bohaterem jest arystokrata, porzucający „towarzystwo“ dla poznania i poprawienia losu robotników. W tym celu stara się o skromne zajęcie w dzielnicy ludowej i zamieszkuje na John Street nr. 5, żyjąc tylko z własnego zarobku. W ten sposób poznaje życie East-endu, życie biedaków londyńskich przedstawione jest po mistrzowsku, przyczem autor nie porusza strun okrutnych, ani wstrętnych. Potem bohater znów przenosi się do „towarzystwa,“ do West-endu i daje nam ścisły jego wizerunek, rysuje milionerów parweniuszów, marzących tylko o powiększeniu swego bogactwa, których synowie wychowani są „po gentle-

mońsku," a jednak zachowują wszystkie instynkty ojcowskie itp.

Śród nowszych prac krytycznych angielskich zwraca na siebie uwagę i zasługuje na streszczenie analiza mistycyzmu skandynawskiego przez H. Ramsden. Jacobsen, materyalista, tłomacz i uczeń Darwina, pierwszy wprowadził czynnik mistycyzmu do literatury skandynawskiej. To on rozpoczął reakcyę przeciw literaturze tendencyjnej: życie, zdaniem jego, zawiera więcej nauki, niż z góry postawione argumenty filozoficzne. Należy więc malować życie takiem, jakiem się je widzi, z ścisłością uczonego, z wrażliwością artysty. Głównie zaś należy być oryginalnym: lepiej wcale nie pisać, niż stać się jeszcze jednym naśladowcą Ibsena lub Björnsona. Takie były zasady Jacobsena.

Dążenie do oryginalności zapędziło go w stronę zupełnie niespodzianą, albowiem stał się założycielem nowej szkoły, która z Danii rozszerzyła się po całej Skandynawii i z obawy przed realizmem wpadała coraz bardziej w idealizm i mistycyzm. Jacobsen jednak otwarcie ani do jednego, ani do drugiego kierunku się nie przyznawał. Był to materyalista mocno zabarwiony pesymizmem. „Głosy syrenie" rozlegają się po burzliwem morzu życia i prowadzą naiwnych do zguby; wszystko, co wydaje się dobrem i pięknem, okazuje się w końcu złudzeniem, bańką mydlaną, która pryska pod tchnieniem rzeczywistości. Oprócz „Głosów syrenich" Jacobsen napisał jeszcze jedną powieść i tom nowel— wszystko pesymistycznie nastrojone. Umarł w młodym bardzo wieku. Otóż nastrój ten był punktem wyjścia mistycyzmu i neo-katolicyzmu w współczesnej literaturze skandynawskiej; jakkolwiek sam Jacobsen zachowywał się zupełnie obojętnie względem religii, to jednak odnaleźć w nim można ukryty głęboko zarodek wiary.

Pośród młodych autorów duńskich czynnik mistyczny najbardziej oczywistym jest w Johannesie Jörgensonie. Inni młodzi pisarze, jak Edward Brandes, Peter Nansen, Henryk Pontoppidan i Karol Ewald, nie ustępują mu pod względem talentu, ale ma on w sobie coś takiego, czego oni nie posiadają i to „coś" czyni go mistykiem. Pierwszy tom jego poezyj ukazał się w r. 1887, lecz nie zwrócił na siebie uwagi, dopiero „Drzewo życia," ogłoszone w r. 1893, zdobyło mu rozgłos. Jest to powieść poprzedzona prologiem alegorycznym. Autor wiele wagi przypisuje symbolizmowi kolorów: wszystkie dobre rzeczy są niebieskie, złe—zielone.

„Drzewo życia" o owocach zakazanych, którymi szatan kusił pierwszą parę ludzką, to miłość, nieszczęście człowieka. Kobieta jest siłą niszczącą, czy jest zwykłą istotą ziemską, jak Dagmara o oczach gorejących blaskiem fosforycznym, czy też jedną z syren tańczących w cieniu zielonych drzew. Bohaterem powieści jest młody Aage, mający przyjaciela, Nielsa Graffa. Aage ginie z powodu Dagmary, a Niels Graff— z powodu Fra Linden. Historya tej pary jest zresztą opowiedziana w ostatniej powieści: „Ostatni dzień." Złamano przez kobiety życie sklania bohatera i jego przyjaciela do powrotu na łono religii. Jörgenson napisał też swą autobiografię p. t. „Prawda i kłamstwo," swe „Wyznania," „Księgę podróży," „Parabole," „Poematy." Wszędzie występuje jako marzyciel, który tylko w snach swej wyobraźni upatruje szczęście. Gdyby od niego zależało, wybrałby życie w klasztorze, albo też nawet w pustelni. Dawniej był kapłanem Pana, namiętnie kochał naturę, którą napełniał nimfami, syrenami i dryadami, dziś wyobraźnia jego przybrała charakter religijny, lubuje się w architekturze gotyckiej i w mistycyzmie modlitw liturgicznych.

Przejdźmy do Norwegii. Po Ibsenie, Björnsonie, Jonaszu Lie, Kiellandzie, którzy już prawie należą do przeszłości, życie umysłowe kraju zdaje się odpoczywać. Śród młodych pisarzów zwrócili na siebie uwagę Bernt Lie, Knut Hamsun, Johan Bojer i dwaj mistycy, bracia Wilhelm i Tomasz Krag.

Wilhelm Krag wystąpił w r. 1891 po raz pierwszy z utworem poetyckim p. t. „Fandango," o wschodniem zabarwieniu i rytmie nader harmonijnym. Posiada on bujną wyobraźnię, wiele humoru i śmiałości. W poematach prozą p. t. „Noc," sprawia wrażenie, jakby był opanowany przez delirium tremens. To mu się wydaje, iż jest prześladowany przez psy, to znowu, iż szklanka absyntu, którą sam postawił na stole, spoziera nań parą zielonych oczu, błyszczących w nocy. „Na zachód od gór Niebieskich" (1893) jest najlepszem jego dziełem: dramat poetyczny w stylu „Peer Gynta." Jest to historya młodzieńca, szukającego ideału. Mefisto występuje w postaci Finna, dającego bohaterowi do wyboru pomiędzy zwykłem istnieniem a królestwem Gór Niebieskich, czyli ideałem. Wybierze naturalnie to ostatnie. Młodzieniec opuszcza matkę, narzeczoną i udaje się do swego królestwa. W akcie trzecim znajdujemy go już tam, obok księżniczki, na tronie. Dopiął ideału, lecz nie jest zadowolony, porzuca wszystko i wraca do domu. Niestety, matka umarła, a narzeczona poszła do klasztoru. Bohater idzie wślad za nią.

Tomasz Krag jest bardziej realistyczny, jakkolwiek także z odcieniem mistycyzmu. Dał naprzód dwa tomy doskonałych nowel p. t. „Zmierzch" i „Ze starego miasta," a następnie kilka powieści p. t. „Ada Wilde," „Wolf Ran," „Dom Beatryczy." Pierwsza nosi charakter czysto naturalistyczny, druga zdobyła mu wielki rozgłos delikatną analizą psychologiczną. Jest to historya życia wewnętrznego człowieka, przedstawiona tak, jak on sam je zna, a nie jak inni je sobie przedstawiają. Autor ma zamiłowanie do bladych, chorych kobiet i do mężczyzn nieszczęśliwych, prześladowanych przez los. Najchętniej przedstawia ludzi prostych, gdyż ci lepiej, niż cywilizowani, odpowiadają fantastycznej i mistycznej stronie jego natury.

Najsilniej jednak podmuch mistycyzmu powiał nad Szwecyą. Wszyscy współcześni jej pisarze: Verner von Heidenstam, Per Hallström, Gustaf af Geijerstam, nawet Strindberg, są nim owładnięci. Najwybitniejszą jednak w tym kierunku jest kobieta, p. Selma Lagerlöf. Pierwsza jej książka, „Gösta Berlinegs Saga," pojawiła się w r. 1891. Jest to nader malowniczy obraz życia dawnej Szwecyi. Następna „Niewidoczne węzły," jest zbiorem luźnych i oryginalnych nowel. Ostatnia wreszcie, nosi tytuł „Cuda Antychrysta" *).

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

TEOLOGIA. Ks. Jan Dobkiewicz: „Troistość w naturze, albo epopeja filozoficzna." Wyd. drugie, 1900, str. 98.

NAUKA. „Szkice z dziejów filozofii," zestawił F. S., str. 89, cena 40 kop.

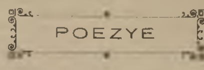
— Mataja: „Wielkie magazyny i drobny handel." Cena 50 kop.

LITERATURA PIĘKNA. „Pisanka," książka zbiorowa pod redakcyą Józefa Jankowskiego. Sadowski. 1900 str. 146.

ROZMAITOŚCI. W. i T. Rakowscy: „Expresse," poradnik kolejowy i handlowy, wyd. 11-te, str. 448, oraz mapy.

PODRÓŻE. Edward Strumpf: „Obrazy Kaukazu" („Bibl. dzieł wybor.").

*) Powieść ta, świeżo ogłoszona w przekładzie niemieckim, wywołała wielką wrzawę w prasie reakcyjnej. Zbudowana jest na legendzie sycylijskiej, według której „Antychryst, gdy przyjdzie, będzie zupełnie podobny do Chrystusa. Wtedy zapanuje wielki głód, a Antychryst pójdzie z kraju do kraju i dzielić będzie chleb między głodnych. I zyska wielu wyznawców." Antychrystem ma być socyalizm. *Red.*



SARKOFAGI.

Jest w głębiach moich czarne, posępne podziemie,
Krypta pełna śmiertelnej, ogłuchłej powagi,
Kędy w zakrzepłej ciszy, co snem mroków drzemie,
Ciągną się marmurowe, ciężkie sarkofagi.

Na nich leżą kamienne postacie rycerzy,
Bezwładne snem spiżowym po trudzie skończonym,
Z piersią zimną, zakutą w chłód glaźnych puklerzy,
Nie śnią, że w górze życie grzmi wirem szalonym.

Przed walką w kryptę dusza ma uchodzi blada
Lęk życia niosąc w piersi drżącej zniewieściałej
I na śpiące marmury senne kwiaty składa,
By za jej brak odwagi zmarłych przebłagały.

Lecz drży w pomroku trwożna, że wonne powietrze,
Które kwiaty ożywczą wkoło leją strugą,
Z lic umarłych rycerzy sen śmiertelny zetrze
I drży, by nie otwarli oczu... Czeka długo...

Do sarkofagów z trwogą podchodzi tajemną,
W milczeniu patrzy w każdą twarz surową, twardą...
Nadsłuchuje, czy za jej tchórzliwość nikczemną
W piersi kamienia serce nie zadrgnie... pogardą.

Leopold Staff.

O prawdę.

(Dokończenie).

A ustępy o *marynarce*—zarzuci mi sz. krytyk — czy i one nie mają na celu poparcia pragnień rządu niemieckiego? Odpowiedź ma zdziwi tych wszystkich, którzy nie czytali broszury mej i znają treść jej tylko ze sprawozdań *Prawdy* i *Kuryera*. *Oto nie przemawiałem wcale za rozwojem marynarki niemieckiej*, który uważałem za zapewniony, a radziłem jeno *Francuzom*, by pomyśleli o reformie i powiększeniu marynarki swej, powołując się na prace Tocqueville'a. A dla objaśnienia dodam, że powiększenie marynarki mocarstw kontynentalnych uważam za kardynalny warunek utrwalenia pokoju powszechnego. Przewaga Anglii, zagrażająca bezustannie pokojowi, opiera się na potędze marynarki jej; wówczas dopiero Europa kontynentalna zdoła poskromić apetyty imperyalistów angielskich, gdyż rozporządzać będzie marynarką równą angielskiej.

Uczyniono mi dalej zarzut, że odzywam się panegirycznie o cesarzu Wilhelmie, że przedstawiam go w świetle idealnem, i to — jak krytyk przypuszcza — wbrew własnemu przekonaniu. Byłoby to rzeczą bardzo naturalną, gdybym, pragnąc pozyskać ces. Wilhelma dla myśli odszkodowania Francyi, odezwał się do rycerskiego, idealistycznego w nim pierwiastku. Zygmunt Kaczkowski, gdy ogłosił „List otwarty do ks. Bismarcka" również w sprawie Alzacyi i pojednania Francyi z Niemcami, powoływał się na zalety umysłowe tego męża stanu i wmawiał mu nawet pewne zalety moralne, o których istnieniu wolno było wątpić. *Captatio benevolentiae.* Atoli wyznaję, że cesarza Wilhelma zaliczam do innego zupełnie typu, niż ks. Bismarcka. Wbrew opinii, rozszerzonej w pewnych u nas kołach, uważam go za jednego z wielkich kierowników ludów, wierzę, że jest on człowiekiem działającym pod wpływem wielkich idei i że

postępowałby i w polityce w sposób zawsze rycerski, gdyby mógł, gdyby względy przeważające, „salus rei publicae,“ nie zabraniały czasem, chwilowo, ulegania popędom idealistycznym. Takiem jest moje przekonanie; może ono być mylnem, ale jest szczerem. Kto zaś miał racyę, czy ja, czy ci, którzy inaczej oceniali cesarza Wilhelma, to się okaże dopiero po latach, gdy polityka jego będzie zrozumiałą dla wszystkich.

A jednak — odpowie mi krytyk *Prawdy* — „Politykę pokoju powszechnego“ uważać musimy za enuncyacyę inspirowaną, bo napisał ją współpracownik półurzędowego pisma *Nordd. Allg. Ztng.* *Kuryer warszawski* zarzucił mi nawet, że poczułem się nagle rodowitym Berlińczykiem. *Prawda* zaznaczyła przynajmniej, że współpracownictwo me w *N. A. Z.* ogranicza się na fejletonach artystyczno-literackich. Niechajże mi wolno będzie powtórzyć, że broszura moja nietylko nie była inspirowaną przez sfery rządowe, lecz pozostawała wprost w sprzeczności z polityką oficyalną. Występowałem ostro przeciwko polityce zaborczej Anglii wobec Boerów, wówczas gdy rząd niemiecki, w poczuciu bezbronności swej na morzu, zachowywał neutralność. Dodam, iż broszura moja do tego stopnia była nie na rękę redakcyi *N. A. Z.*, że przez kilka miesięcy, póki w prasie o niej rozprawiano, uważano za stosowne ogłaszać fejletony me bez mego podpisu.

Po za tem jednak pozostawiono mi całkowitą swobodę w rubryce literackiej, którą zasilałem. Jest to bowiem przesądem, jakoby *N. A. Z.* była „fortecą naszych nieprzejednanych wrogów, opoką wszelakich hakatyzmów.“ Od kiedy obalono Bismarcka, kierunek pisma tego zmienił się. Wraz z Bismarckiem usnięto przeważną część redaktorów *N. A. Z.* Na czele rzekomej „opoki hakatyzmu“ stoi od lat kilku dr. Wilhelm Lanzer, dawniejszy redaktor *Allgemeine Kunstchronik*, człowiek liberalny i znany przyjaciel sztuki polskiej. Wiadomo, że i cesarz Wilhelm artystom polskim szczególne okazuje względy, że wspomnę o Fałacie i Kossaku. Nadto *N. A. Z.* zawiera poważny dodatek literacki, wychodzący codziennie, z którego wszelka tendencya polityczna jest wykluczoną, w którym bez wszelkich uprzedzeń ocenia się produkcyę naukową, literacką i artystyczną wszystkich narodów. Ktokolwiek zaś zadał sobie trud śledzenia fejletonów mych w tym dodatku, mógł się przekonać, że nie tchnęły one *bynajmniej* duchem hakatystycznym... Sapienti sat.

A teraz posłuchaj mnie, szanowny krytyku i sędzio nieznany. Czas cię pouczy, że zbyt rychło wydałeś potępiające swe wyroki, że zbyt pochopnie siliłeś dowcip swój na przydomki zabójcze, jak „Giordano w pikelhaubie“ itp. Mogę tu powtórzyć dosłownie, co oświadczyłem współpracownikowi *Gazety lwowskiej*. Istnieje u nas klub Katonów, którym się zdaje, że zmonopolizowali idealizm i że są niezmiernie przenikliwymi, tłomacząc wszystko, co inni czynią, motywami brudnymi i niskimi. Po wyjściu „Jana Proroka“ twierdzono, że sprzedałem się partyi krakowskiej dla karyery politycznej. Kiedym wykonał maskę pośmiertną cesarzowej Elżbiety, spotkałem się z podejrzeniem, żem wstąpił w służbę dworu austryackiego. Teraz znów jestem w służbie rządu niemieckiego. Że też tym panom przez myśl nie przejdzie, że można zająć się sprawą Alzacyi z motywów czysto idealnych, z sympatyi dla ludzkości i pokoju... Z największem oburzeniem odeprzeć muszę zarzut, jakobym zmienił był sympatye i przekonania me, sposób myślenia i czucia. Aczkolwiek uświadomiłem sobie dawno odrębność rasy mej i wyciągam należne z tego konsekwencye, nie zapomniałem ani na chwilę o obowiązkach mych względem kraju rodzinnego, a raczej było mi zawsze serdeczną potrzebą okazywać rodakom braterską sympatyę i popierać w miarę sił wszelkie ich dążności. Nigdy też nie sprzeniewierzyłem się ani się nie sprzeniewierzę światopoglądowi idealnemu i postępowemu. Jeżeli wierzyłeś kiedyś, surowy mój krytyku, w autora „Tragedyi myśli“ nietylko jako w poetę, to wiara ta nie omyliła cię. Dziś zaszło między nami nieporozumienie — bo chcę uwierzyć w szczerość Twego zgorszenia. Upatrujesz w ostatniej pracy mej „serwilizm niewolnika miasto protestu przeciwko krzywdzie wszechludzkiej,“ tymczasem nie jest ona niczem innem, jeno protestem przeciwko krzywdzie wszechludzkiej, próbą powolnego usunięcia tej krzywdy i zbliżenia wielkiego okresu prawdziwie humanitarnego, o którym marzył i Giordano Bruno. Nie wątpię, że nieporozumienie z czasem ustąpi. Bo jeżeli porównujesz mnie dziś z „Żydem wiecznym tułaczem,“ to przyjmuję porównanie to, a nawet jestem zeń dumnym, tak jak dumni byli z przydomka swego ci, których przezwano „Gueux.“ Tak, mój panie, jestem i zostanę jednym z owych tułaczów, którzy dla wielkich ideałów ludzkości żyli i umierać umieli.

Alfred Nossig.

Chcemy i musimy być ścisli. Nie możemy zapełniać szpalt *Prawdy* polemiką, w której chodzi nie o ogólne, jeno o osobiste sprawy i grzechy p. Nossiga. Zarzuty nasze nie zostały osłabione; przedmiotowa ich wartość pozostała ta sama, argumenty bowiem p. N. *ad hominem*. mogą oddziałać na nasz sentyment, ale nie na nasz aparat logiczny. Pomijamy pretensye co do bezimienności niewykraczającej ze zwyczajów dziennikarskich, a w tym wypadku o tyle uzasadnionej, że nas obchodziła nie osoba autora, ale jego publiczne wystąpienie. Pomijamy również bezpodstawny domysł, jakoby artykuły w *Kuryerze warszawskim* i *Prawdzie* pochodziły z jednego pióra. Co do rzeczy samej, ustępy dotyczące pokoju powszechnego, marynarki niemieckiej, wysokiej polityki itd., są tylko rozwinięciem odnośnych paragrafów w broszurze p. N., które dostatecznie rozważone i ocenione zostały w artykule naszym. O tem, jak poglądy p. N. przyjęto zostały w Niemczech, nie wiemy, nic nas to jednak nie obchodzi. Dlatego zaś właśnie, że dobrze jesteśmy z życiem politycznem i społecznem obeznani, lepiej niż estetyk, rzeźbiarz i współpracownik *Norddeutsche Allg. Ztng*, od kilku zaledwie miesięcy w Berlinie zamieszkały — dlatego właśnie może w nas tylko wesołość budzić uprzejmość dyplomatyczna, z jaką p. Nossig ofiaruje Francyi „ustępstwa we wschodnio-afrykańskim zakresie kolonialnym.“ Albowiem znaliśmy Niemców, a takim Niemcem był np. zacny, nieżyjący już dzisiaj kanclerz Caprivi, który z przyjemnością oddałby wszystkie kolonie niemieckie w Afryce każdemu awanturnikowi, coby po nie ręce wyciągnął... We Francyi zaś ruch za zgodą z Niemcami nie jest wcale nowalijką, wprowadzoną przez p. Nossiga do jadłospisu polityki bieżącej. Znamy wszyscy ankiety w tym względzie przeprowadzone, które jednak na bieg polityki nie wpłynęły, nie wpłyną i wpłynąć nie mogą. Osobiste zaś sympatye p. N., mniej lub więcej egzotyczne, są jego osobistą sprawą. W słowniku równoległym na jednej linii czytać możemy *Die Wahrheit—La Verite—Truth*, ale dźwięki to są nam obce, obchodzi nas tylko *prawda*. I dlatego właśnie bez względu na wszelki estetyzm nie zapomnimy na chwilę ani o osobie Pindtera, ani o balsamicznej woni *Norddeutscherki*, ani o jej etycznem i zawodowem wyznaniu wiary. I nie przekona nas p. Nossig, niechaj o tem wie i zapamięta. Albowiem dla nas życie nie jest wesołą motylą wyprawą, choreograficznym popisem, przesuwaniem się entuzyastycznem od kwiatka do kwiatka, jeno — ewangelią pracy i miłości społecznej.

W ostatnim ustępie swej repliki chce nas autor przekonać, żeśmy zamiarów jego nie zrozumieli, że działał w dobrej wierze, że się nie sprzeniewierzył ani ideałowi, ani społeczeństwu. Być może. Gdyby tak było, czekają p. Nossiga gorzkie i pewnie niedalekie rozczarowania. My zaś gotowi będziemy w każdej chwili uznać, żeśmy się pomylili *nie w zakresie kwalifikacyi czynu, ale — charakterystyki sprawcy*. Ale niechaj p. Nossig pamięta, że Urjel Acosta nie na rynku, jeno w bóżnicy odwoływać musiał herezye, w których promieniu zbłądził. A *Norddeutscherka* nie jest wcale — bóżnicą.

Wreszcie p. Nossig ma żal do nas, żeśmy mu przypięli łatkę żółtą „żyda-tułacza.“ Daleką była od nas myśl taka i trzeba dużego zaślepienia i drażliwości, aby wrażenie podobne w sobie wywołać i w nas świadomość takiego grzechu względem potępionych i cierpiących wmówić. Tylko że p. Nossig, *wie er leibt und lebt*, nie jest wcale a wcale „z tych tułaczów, którzy dla wielkich ideałów ludzkości żyli i umierać umieli.“

Redakcya.

P. S. Już po złożeniu rękopisu otrzymaliśmy od p. Nossiga list, który opiewa: „Autor uprasza o zaznaczenie, że *Kuryer warszawski* skorzystał tymczasem z nadarzającej się sposobności, by sprostować pewne zarzuty, uczynione mu dawniej.“

W DALI.

Płock. *Płock. Gub. Wied.* poświęciły artykuł wykazujący niezbędność popierania przez władze przemysłu domowego, szczególnie w okolicach, gdzie wskutek mało rozwiniętego przemysłu fabrycznego znaczna część ludności wiejskiej nie znajduje pracy. Sprawa ta nabiera osobliwej wagi wobec dzisiejszego kryzysu rolnego, który zmusza tysiące robotników wiejskich do poszukiwania zarobku za granicą. Przemysł domowy nie ma potrzeby — zdaniem autora artykułu — obawiać się konkurencyi fabrycznej, gdyż warunki, w jakich znajduje się jego wytwórczość, różnią się znacznie od fabrycznej. Siła przemysłu domowego polega na przedstawiającej małą wartość dla wytwórcy pracy ręcznej oraz na niewielkich wydatkach, jakie ponosi tenże przy nabywaniu materyału surowego. Zadaniem więc władz, według artykułu, powinnoby być przedewszystkiem zaopatrzenie przedstawicieli przemysłu domowego w materyał surowy lub przynajmniej ułatwienie im nabycia tego materyału, oraz zapewnienie zbytu wytworów. Co zaś do punktu pierwszego, tj. warunków wytwórczości przemysłu domowego, poszukiwać takiej pracy, która mogłaby wytrzymać konkurencyę z pracą fabryczną. Z tych względów byłoby niepożądanem zachęcanie ludności ubogiej np. do przędzalnictwa bawełny, gdyż w tej gałęzi przemysłu fabryki, wskutek niezwykle udoskonalonej techniki, udaremniłyby wszelką konkurencyę. Za to pożądanem byłoby zachęcanie ludności wiejskiej do niektórych rodzajów tkactwa, szczególnie niektórych grubszych gatunków płótna lnianego, do wyrobów metalowych drobnych itp. Jako przykład, autor wskazuje na wyrób noży i nożyczek w Zollingen; przedmioty te zaletami wyrobu przewyższają znacznie fabryczne; przemysł powyższy mógłby się rozwinąć pomyślnie i u nas, gdyby przedstawiciel przemysłu drobnego posiadał odpowiedni materyał surowy. Zdanie, że przemysł domowy ustępuje wszędzie fabrycznemu, zbija artykuł, wskazując na wiele okolic fabrycznych w Austryi, Szwajcaryi, Prusiech itp., gdzie obok wysoko rozwiniętego przemysłu fabrycznego rozwija się pomyślnie przemysł ręczny, występując częstokroć w charakterze sojusznika, a nie wroga przemysłu wielkiego.

ROZPORZĄDZENIA URZĘDOWE.

POSTANOWIENIE.

Wobec często powtarzających się wypadków używania noży w kłótniach i bójkach, na mocy służących mi praw. Najwyżej zatwierdzonych d. 11 kwietnia 1900 r. z uchwały komitetu ministrów, postanawiam:

1) Winni noszenia przy sobie noży bez konieczności, wywoływanej potrzebami zajęcia lub rzemiosła, i używania ich w bójkach lub w in-

nego rodzaju zatargach osobistych, podlegają w porządku administracyjnym karze do 500 rb. lub aresztowi do 3 miesięcy niezależnie od tego, jaki będzie przebieg sprawy sądowej z powodu wyrządzenia uszkodzeń na ciele.

2) Postanowienie niniejsze rozciąga się na Warszawę i na wszystkie gubernie kraju Przywiślańskiego, wchodzi zaś w moc obowiązującą w dwa tygodnie od chwili ogłoszenia.

3) Ogłoszenie tego postanowienia wkładam na pp. gubernatorów i oberpolicmajstra warszawskiego.

Warszawa, 21 czerwca (4 lipca) 1900 r.

Podpisał: Generał - Gubernator, warszawski generał-adjutant.

Książę *Imeretinskij.*

(*Warsz. Dniewn.*).

Warsz. Dniewnik zamieścił następujący okólnik Generał-Gubernatora warszawskiego do gubernatorów w Królestwie Polskiem:

„Z napływających do mnie z tytułu godności Generał-Gubernatora próśb, przekonałem się, że znaczna ich liczba podawana jest w sprawach, dotyczących pełnienia służby wojskowej, w szczególności zaś w sprawach:

1) O uwolnienie od służby wojskowej krewnych, których na mocy losowania zdaniem petentów zaliczono do wojska nieprawidłowo.

2) O uwolnienie od służby czynnej w wojsku szeregowców z powodu zmian w położeniu rodzinnem.

3) O przeniesienie krewnych petentów do oddziałów wojsk, konsystujących w kraju tutejszym.

Wspomniane prośby nie podlegają kompetencyi Generał-Gubernatora, gdyż dla uwzględnienia ich ustanowiono osobny porządek, wyłuszczony w odpowiednich artykułach ustawy o powinności wojskowej:

Z wydaniem wspomnianej ustawy pobór rekrutów do służby wojskowej dokonywany bywa w powiatowych i miejskich komisyach poborowych, przyczem w ustawie wyszczególniono obowiązki i przedmioty kompetencyi układających listy poborowe (art. 121—124 ust.), powiatowych miejskich (art. 108) i gubernialnych (art. 107), jako też porządek składania i rozważania skarg ustnych na czynności instytucyj, zawiadujących poborem wojskowym (art. 220—224) i piśmiennych; na układających listy poborowe (art. 224—227), na komisye powiatowe i miejskie (art. 228—233) oraz na gubernialne (art. 234).

Skargi na uchwały gmin co do oznaczenia niezdolności do pracy wskutek kalectwa i choroby osób w rodzinie podlegającego poborowi, jako też na uchwały gmin i magistratów miejskich co do poświadczenia nieobecności wspomnianych osób, składane być winny do komisyj powiatowych, a na rezolucyę tych ostatnich — do komisyj gubernialnych, których rezolucye są ostateczne (dod. do art. 53 ust.).

Rozpoznanie próśb o uwolnienie ze służby z powodu zmienionego położenia rodzinnego (art. 56 ust.), zależy również od komisyj powiatowych (p. 5 art. 108), a następnie zaś te prośby mogą podlegać rozważeniu przez komisye gubernialne w porządku instancyjnym (p. 4 art. 107). Skargi na rezolucye komisyj gubernialnych podają się do senatu rządzącego. Takiż porządek wnoszenia skarg stosuje się we wszystkich wogóle wypadkach, niedających się zaliczyć pod żadną z wymienionych w art. 228 ustawy kategoryj.

Nakonice, do ostatniej grupy należą prośby o przeniesienie szeregowców z jednych oddziałów do drugich. Prośby te rozważa władza wojskowa, do której też petenci zwracać się winni.

Biorąc następnie pod uwagę, że nadsyłane do mnie skargi wnoszono są przeważnie przez ludzi niezamożnych, często wydających za ich ułożenie ostatnie swoje oszczędności, a z drugiej strony pragnąc, w celu uchronienia ludności od niesumiennej eksploatacyi pokątnie piszących prośby, jak można najszerzej rozpowszechnić wśród mieszkańców tutejszych wiadomości o istniejących prawach co do porządku wnoszenia próśb i skarg w sprawach poborowych, mam honor prosić najuprzejmiej JW. Pana o przedsięwzięcie odpowiednich środków dla obznajmienia mieszkańców powierzonej Panu gubernii z porządkiem kierowania wspomnianych skarg.

Przytem mając na względzie, że przy niezachowaniu ustanowionych terminów wnoszenia skarg, nawet słuszne skargi nie mogą być uwzględniane, uważałbym za bardzo pożyteczne obznajmić ludność z terminami wnoszenia skarg (art. 135, 223, 228 i 234), jako też ze sposobem obliczania tych terminów, kierując się przytem następującymi przepisami:

1) Dla skarg na komisye powiatowe o nieprzyznanie ulg termin oblicza się od ostatniego przed losowaniem odczytania listy poborowej (art. 162 ust.).

2) Dla skarg o rozsegregowanie według wyznań lub o uznanie zdatności — od dnia odczytania obecnym głośno listy pobranych na służbę do wojska (art. 177).

3) Dla skarg na zaliczenie do pospolitego ruszenia — od tego dnia, kiedy o postanowieniu zawiadomiono interesowanego (uchw. Sen. rządz. z d. 16 listopada 1882 r.).

4) Dla skarg o nieuwolnienie ze służby z powodu zmienionego położenia rodzinnego i wogóle w razie wysłania komisyom zawiadomienia o miejscu postanowienia — od dnia wysłania lub odczytania przez petenta rezolucyi (uchw. Sen. rządz. z d. 30 września 1887 r. i czerwca 1889 r.).

Oryginał podpisał:

Generał-adjutant Książę *Imeretinskij.*

Za zgodność z oryginałem:

Zarządzający kancelaryą *E. Mienkin.*

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Wkrótce będzie przedstawiony do zatwierdzenia władzy ministeryalnej projekt zawiązania w Warszawie stowarzyszenia, mającego na celu rozwój i krzewienie wiedzy prawniczej, oraz zbliżenia do siebie osób, pracujących na polu prawniczem. Nowe Towarzystwo, którego ustawę opracował adwokat przys. Emil Waydel, posiadać będzie oddziały historyi prawa, prawa cywilnego, prawa karnego itp. Członkami zaś być mogą wyłącznie osoby, zajmujące się prawem praktycznie lub teoretycznie.

— Sprawa mieszkania Żydów na letnich mieszkaniach, na terytoryach włościańskich została ostatecznie ułożona w ten sposób, iż urzędy gminne zezwalają na osiedlenie się rodzin żydowskich pod warunkiem, że te nie będą prowadziły żadnych procederów i że pobyt ich nie przeciągnie się po za termin zwykłego sezonu wilegiatury.

Szkoły. Między innymi następujące zakłady naukowe dają prawo (na mocy swoich patentów) do egzaminów konkursowych przy wstąpieniu do instytutu publicznego: gimnazya i szkoły realne z klasą uzupełniającą; prywatne gimnazya i szkoły realne z klasą uzupełniającą, korzystające z praw rządowych gimnazyów i szkół realnych, oraz te, w których egzaminy dojrzałości odbywają się na podstawie uwagi I do par. 45 przepisów o egzaminach; szkoły handlowe ministeryum skarbu i zarządu instytucyj Cesarzowej Maryi dla tych, którzy ukończyli kurs siedmiu klas.

— Prośby o przyjęcie do szkoły górniczej w Dąbrowie na przyszły rok szkolny można wnosić do d. 14 sierpnia. Komplet uczniów pierwszej klasy oznaczono na 30. Egzaminy zaczną się d. 6 września.

— Egzaminy powakacyjne dla studentów wydziału prawnego uniwersytetu warszawskiego wyznaczono na d. 7 września r. b.

— Szkoła 6-klasowa R. Kowalskiego w Warszawie z początkiem przyszłego roku szkolnego będzie przekształconą na 4-klasową szkołę handlową z klasami wstępnemi. Uczniowie, kończący kurs szkoły, korzystać będą z praw rządowych.

W sprawie serwitutów. Senat świeżo pozostawił bez skutku skargę kasacyjną na wyrok Izby sądowej warszawskiej, mocą którego Izba w sprawie Węgrzyka przeciwko Kurcowi i Ogonowskiemu, na zasadzie art. 700 kod. Napol. uznała, że jeżeli osada korzysta z serwitutu opału z lasu właściciela majątku, to przy sprzedaży części tej osady bez budynków, nabywca jej sam przez się korzysta z rzeczonego serwitutu w stosunku do ilości sprzedanej ziemi, o ile przeciwny warunek nie był wyraźnie zastrzeżony w akcie kupna sprzedaży.

Muzeum przenośne. Komitet trzeźwości powiatu warszawskiego, projektuje urządzenie „muzeum przenośnego," złożonego ze zbiorów naukowych, fonografu itp. Muzeum co pewien czas będzie przewożone do najbardziej zaludnionych osad tegoż powiatu.

Zdrowie publiczne. Zarząd kolei Nadwiślańskich zobowiązał swoich lekarzy kolejowych do szczepienia ospy wszystkim osobom, wstępującym na służbę i ich rodzinom, z wyjątkiem osób, które miały ją szczepioną dwa razy.

Zapis. Rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła zapis Mikołaja Kordaszewskiego 16,000 rb. na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami.

Konkurs. Nagroda belgijska (co trzy lata przyznawana) za najlepsze dzieło dramatyczne francuskie została udzielona dramatowi „Klasztor" Emila Verhaeren'a.

Ruch kobiecy. Towarzystwo prawnicze w Berlinie przyjęło w poczet swoich członków pierwszą kobietę, panią Maryę Raschke, dr. jur.

Filantropia. Wyszło z druku I sprawozdanie ewangielicko-augsburskiego Stowarzyszenia opieki nad dziewicami, „przyjeżdżającemi z obczyzny (t. j. z Niemiec), w którem znajdowałyby one do czasu wyszukania miejsca schronienie." Za przykładem podobnej instytucyi w Petersburgu otworzył schronienie w Warszawie pastor Bursche 1898 r. Stowarzyszenie jest „jednocześnie dla młodych w obowiązku znajdujących się dziewic miejscem zebrań, gdzie spędzają czas na czytaniu i śpiewaniu religijnych pieśni." Zebrania odbywają się co niedziela od 5—7 p. p. Po śpiewach chóralnych wygłasza zwykle przemówienie pani Marya von Ewerth, „dostępne dla wszystkich, a oparte na Piśmie Św." W ciągu tego czasu ($1\frac{1}{2}$ roku) zapisało się ogółem 174 panny, z których 56 pochodziło z Królestwa, 35 — z prowincyj nadbałtyckich, 82 — z Niemiec i 1 — z Petersburga. Z tych — 6 wstąpiło w związki małżeńskie, 44 — opuściło Warszawę, wypisało się 33 (dlaczego?). Biblioteka liczy 83 tomy. Dochody stanowiły — 3,545 rb. 66 k., wydatki — 1,259 r. 58 k. Stowarzyszenie posiada kapitału deponowanego 2,000 rubli.

Pomnik. Sallustjuszowi, historykowi rzymskiemu wznosi włoskie ministeryum oświaty pomnik w Aquila, w pobliżu Amiternum w dawnej ziemi Sabińskiej. Oczywiście hołd ten należy się jego talentowi dziejopisarskiemu. Zawsze bowiem pamiętamy jeszcze z lekcyj historyi starożytnej, że jego życie osobiste, uczciwość obywatelska pozostawiały wiele do życzenia. Analiści skandalów rzymskich mieli o nim wiele do opowiadania, a jego zdzierstwa urzędowe w prow. Afrykańskiej umożliwiły mu założenie słynnych ogrodów Sallustjuszowskich.

Sprawy emigracyjne. W roku 1899 emigrowało przez porty niemieckie z Austryi 37 tys., z Węgier 32,800, z Rosyi 57,394, z Niemiec 23,740 ludzi.

Sprawy ekonomiczne. Kijowski bank ziemski za niepłacenie przypadającej raty bankowej wystawił na sprzedaż w gub. Kijowskiej 25 majątków, w Podolskiej 20 i w Wołyńskiej 60. Są to dobra przeważnie średnie, od 100—1,000 dzies. rozległości, i jeden tylko majątek hr. Tyszkiewicza, położony w pow. Żytomierskim, przenosi $14\frac{1}{2}$ tysiąca dzies. Składa się on z 13 wsi i kilku kolonij.

— W Galicyi istnieje obecnie 1,250 Kółek rolniczych, rozsianych po całym kraju i rozpościerających działalność swoją na więcej, niż [illegible] część ogólnej liczby gmin galicyjskich. Lustratorzy, którzy w 285 Kółkach dokonali rewizyi, stwierdzili w nich ogólny bilans następujący: Obrót roczny wynosił 6,237,472 koron, zapas towarów 560,268 k., wierzytelności towarowe i pieniężne 372,392 k., udziały 309,080 k., długi towarowe 271,730 k., długi pieniężne 302,246 koron (korona = $39\frac{1}{2}$ kop.). 431 sklepów Kółek rolniczych ułatwiły ludności wiejskiej nabywanie artykułów spożywczych i zwykłych domowych potrzeb. Z nich 231 prowadziły handel winem i innymi napojami, 22 dzierżawiły propinacyę, 175 utrzymywały handle tytuniowe, 2 uprawiały handel skórami, 13 prowadziło spółkowe mleczarnie, 27 utrzymywało spółkowe rzeźnie, 4

prowadziły spółkową piekarnię, 2 zajęły się urządzeniem wspólnych spichlerzy zboża. Ze spraw organizacyjnych Towarzystwa Kółek rolniczych niezawodnie jedna z najważniejszych jest sprawa gruntownej reformy działalności na polu rolnictwa. Na plenarnem posiedzeniu głównego zarządu postanowiono: 1) zakładanie pól demonstracyjnych i doświadczalnych w celu rozpowszechnienia pomiędzy członkami Kółek rolniczych odpowiednich dla danej okolicy roślin pastewnych; wprowadzanie lepszych odmian zbóż i innych roślin gospodarskich, wypróbowanie działania rozmaitych nawozów; zastosowanie lepszych sposobów uprawy; zakładanie również próbnych łąk i pastwisk; 2) urządzanie konkursów gospodarstw włościańskich z nagrodami dla najlepszych w pieniądzach lub narzędziach rolniczych; 3) urządzanie wystaw narzędzi, nasion, nawozów i t. p. podczas zjazdów powiatowych; 4) udzielanie informacyj członkom Kółek rolniczych we wszystkich kwestyach, dotyczących gospodarstwa wiejskiego; 5) badanie szczegółowe potrzeb ekonomicznych i technicznych gospodarstw włościańskich i przedstawienie tychże w wyczerpujących referatach.

Zmarli. Adolf Krajski, nauczyciel muzyki i kompozytor, zmarł w Żytomierzu; muzykę studyował pod kierunkiem ojca swojego, Jana. Z utworów Krajskiego w gub. Wołyńskiej są bardzo popularne: trzy walce, trzy mazury, kilka pieśni i sonata, odznaczające się wielką melodyjnością. Zmarły cieszył się ogólnym szacunkiem w Żytomierzu, to też dla oddania mu ostatniej posługi zebrały się tłumy publiczności ze wszystkich sfer towarzyskich.

— W kwietniu zmarł w Paryżu słynny zoolog, dyrektor muzeum zoologicznego Alfons Milne Edwards, od r. 1897, prezydent paryskiego Tow. geograficznego. Ur. 1835 r., syn genialnego przyrodnika Henryka. M. E. wcześnie zaczął pracować. W paryskim świecie naukowym zajmował niezmiernie wybitne stanowisko.

— Frank Hamilton Cushing, jeden z najbardziej zasłużonych etnografów amerykańskich (zm. 10-go kwietnia r. b. w Waszyngtonie). Od r. 1879—1885 badał Indyan północno-amerykańskich (Zuńczyków). Za przykładem Morgana umiał tak dalece zdobyć zaufanie dzikich, że go obrali swoim wodzem. Był urzędnikiem Biura etnologicznego w Waszyngtonie i w sprawozdaniu tegoż znaleźć można najważniejsze prace Cushinga (o fetyszach t. II, o garncarstwie t. IV, o mitach, o stworzeniu świata u Zuńczyków t. XIII).

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu K. R. Lyon. Nie zużytkujemy.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Іюня 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.